

Dziś w numerze: Wietnam w walce i w pracy • Niedzielne popołudnie
„Osnowa“ na którą czekamy • Koniec czy początek • Wypróbowana
uczciwość • Recenzje • Wiersze • Felietony • Polonica

odgłosy



Nr 28 (390)
 17. VII. 1966 r.
 10 stron
 Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

BULGARIA Bez TURYSTÓW

Heż tysięcy lat musiały leżeć nie tknięte góry, stracone kiedyś z gór prastara jakąś wichurą, zanim płytka, wartka Czaja zaokrągliła ich kształty, pozbawiła ostrych kantów, wypolerowała na idealną gładzinę ich powierzchnię? Prawie w każdym miejscu można, skacząc z glazu na glaz, przekroczyć rzekę.

Ale po co? Po jednej jej stronie wije się wciśnięta pod sam pionowy skalny mur szosa, drugim brzegiem rzeki jest już tylko urwisko, wysokie na parędziesiąt metrów, groźne, nawisłe ostrymi zębami, grzebieniami, kolecami skał. Czaja płynie dnem głębokiej szczeliny między skałami. Jadąc z Płowdiw na południowy wschód, ma się przed sobą, po bokach, wysoko nad sobą — skały. Czasem trochę zieleni. Czasem szczelina się rozszerza i z bliska widzimy, że niektóre z głazów uporządkowała ręka ludzka, że są to, z tych samych kamieni zbudowane, domy; podjeżdżamy bliżej — z domów powstaje wieś, miasteczko, przed niektórymi domami ukazują się wielka praca założone i utrzymane chrasmy, ogródki, w których zieleni pnie się do przemyślnym systemie słupków i sznurków, tworząc zacienioną, zadaszona altanę.

Cień w tym klimacie jest cennym i cenionym dobrem. Warto dla jego osiągnięcia zakładać chrasmy nawet w miejscach, gdzie nie samo by nie urosło. Są charakterystycznym akcentem wszystkich bułgarskich wsi i osiedli: każdy dom ma swój ogród pod dachem z liści, chrasmy sąsiadów łączą się, tworzą cały labirynt przejść, zakamarków, tuneli.

Taka wioska z głazów, na głazach, wśród głazów jest też Baszkowo. Jedziemy w smugach deszczu, kierowca przerzuca wóz z lewa w prawo, bierzemy ostre zakręty z deszczem w pierś, jak na koleje napowietrznej w lunaparku. Główne ulice remontują właśnie żołnierze, zmoknięci, nieczuli na deszcz, czarnowłosi. Są między nimi Turcy i Cyganie, trudni zresztą do odróżnienia dla obcych jak ja przybyszów. Uskakują spod kół w ostatniej chwili, wóz włącza trzeci bieg, stęka, pcha się pod górę. Stajemy przed klasztorem.

Dalszy ciąg na str. 4



JAN BABIŃSKI

BEZ GLEJSTU DLA MOR DERCY

W środku stał obiekt przedziwny o masywnych zasuwach, wyglądający jak gigantyczna lodówka.

— To nasza sześciotworowa szafa chłodnicza — wyjaśnił adiunkt.

Teraz odwrócił się wprost do mnie i patrząc mi badawczo w oczy zapytał:

— Mam otworzyć? Chce pan to naprawdę zobaczyć?

Skinąłem głową, choć nie bez pewnego wahania.

W pierwszej otwartej na oścież komorze leżał nagi mężczyzna z wgniecioną klatką

piersiową. Zginął o czwartej nad ranem. Auto, które był prowadził wpadło pod Łęczycę, całym rozpedem, na przydrożne drzewo. Czy był pijany? W drugiej komorze znajdował się młody elektryk. Jego ciało miało ziemistozłoty kolor. Rażony prądem, zmarł prawie natychmiast. Przywieziono go z Kutna. Z trzeciego okienka wystawały szczątki czegoś, co było kiedyś ludzką głową i ludzkim tułowiem. Zwłoki podniesiono z toru kolejowego pod Zgierzem. Samobójstwo? Prawdopodobnie. W czwartej komorze leżało ciało robotnika, który stracił życie przy rozbiórce starego domu w Poddebicach. Na jego twarzy zastygł wyraz przedśmiertnego przerażenia. Piąte zwłoki, już zszycie i ubrane w czarny garnitur i czarne, bardzo błyszczące półbuty, leżały wyciągnięte na drewnianej pryczy. Śmierć nastąpiła nagle. Pomocnik ogrodnika w Wiśniowej Górze poszedł do toalety. Raptiem wyrzucił się twarzą do ziemi — do chwili już nie żył. Co było przyczyną zgonu? Sekcja to wykaże.

Jeszcze kilka kroków — oto prosektorium,

Pomieszczenie małe, nieefektywne. Ciąsną i skromnie. Powiedziałbym, ubogo. Powiedziałbym nawet więcej — żenująco obokurnie. Zimne ściany. U szczytu przedpotopowy jakiś wentylator, warczący jak elektryczna średniej mocy. Z boku palnik gazowy. Zapalony. Spojrzałem zdziwiony. Dziś tu chłodno — tłumaczy adiunkt. — Ranki są tu zawsze zimne, więc z braku pieca ogrzewamy się takim oto palnikiem. Podszedł do betonowego stołu, na którym leżały nagie zwłoki młodej kobiety. Na jej skroniach widniały głębokie, ciete rany, odniesione w motocyklowym wypadku na przedmieściach Łodzi.

Dochodziła dziesiąta.

Tegoż dnia w Łódzkim Zakładzie Medycyny Sądowej dokonano sekcji sześciu zwłok. Wprawdzie już przed tysiącami lat umiano rozpoznąć śmierć gwałtowną od śmierci na-

Dalszy ciąg na str. 4



Mimo pełni lata w polityce międzynarodowej nie ma wakacji. Wręcz odwrotnie — właśnie w ostatnim okresie widać dużą aktywność. I tak np. po wizycie de Gaulle'a w ZSRR i zapowiedzianych rozmowach w Moskwie U Thanta, do stolicy Związku Radzieckiego — podobno z ważną misją — wybiera się premier rządu W. Brytanii — Wilson oraz premier rządu Republiki Indijskiej — Indira Gandhi. Podróże te przynoszą na Zachodzie fale domysłów, oczuwiska głównie na temat perspektywy wojny wietnamskiej.

Przed wszystkim jednak przedmiotem zainteresowania jest narada

południowo-wschodniej — doprowadziła już do rozpetania agresywnej wojny...

Owocem jej jest między innymi żądanie przez NRF dostępu do broni jądrowej, a wyjściem naprzeciw temu żądaniu forsowanie koncepcji wielostronnych sił nuklearnych. Jeśli kraje NATO wejdą na tę drogę — państwo Układu Warszawskiego będą zmuszone podjąć niezbędne środki obronne.

Duży fragment deklaracji poświęcony jest problemowi niemieckiemu. Podkreśla się tam, że interesy pokoju i narodu niemieckiego wymagają, by kółka rządzące w Bonn oparły się politykę o realia europejskie, uznali fakt istnienia dwóch państw niemieckich i zaniechali wszelkiej polityki militarystyki i odwetu.

Jakie środki, mające na celu umocnienie bezpieczeństwa europejskiego, proponują kraje, uczestniczące w bukareszteńskiej naradzie?

Ujęte są one w siedmiu punktach. Nawiązuje się tam do rozwijania dobrosąsiedzkich stosunków między państwami, uznaje za celowe — w dążeniu do zmniejszenia napięcia militarnego — równoczesne rozwią-

Setny felieton!

Doradcęgo Komitetu Politycznego Państwa — Stron Układu Warszawskiego, która odbyła się w Bukareszcie oraz jednomyślnie uchwalone przez nią: „Oświadczenie w związku z agresją USA w Wietnamie” i „Deklaracja w sprawie umocnienia pokoju i bezpieczeństwa w Europie”.

Te dokumenty, pod którymi złożyli swe podpisy najużyźni przedstawiciele 7 socjalistycznych krajów, są nie tylko wytyczną działania w polityce międzynarodowej sygnatariuszy Układu Warszawskiego, lecz — co więcej — określają płaszczyznę współdziałania wszystkich na rzecz przywrócenia pokoju w Azji i jego umocnienia w Europie.

Pierwszy z tych dokumentów ma jednocześnie charakter zdecydowanego ostrzeżenia przed nieobliczalnymi konsekwencjami kontynuowania i rozszerzania wojny przeciwko narodom Indochin.

Oświadczenie wskazuje drogę rozwiązywania konfliktu wietnamskiego — powrót do Układów Geneeskich z 1954 r. Takim rozstrzygnięciem zainteresowane są narody świata. Jeśli jednak lekceważąc ich wolę amerykańscy agresorzy nadal będą dążyć do walczenia w Wietnamie, korzyść będzie z zwiększającej się potęgą krajów socjalistycznych w postaci niezbędnych środków, wynikających z nowej fazy wojny, łącznie z umożliwieniem — na prośbę DRW — swoim ochotnikom udania się do Wietnamu. Odrzucenie bowiem agresji imperialistycznej — to nie tylko sprawa wolności Wietnamu, ale również i na innych kontynentach.

Drugi dokument traktuje wyłączenie o problemach europejskich, podkreślając, że także na tym kontynencie bezpośrednią groźbę dla pokoju i bezpieczeństwa stanowi „obecna polityka Stanów Zjednoczonych Ameryki, ta sama polityka, która w innym rejonie świata — w Azji

zanie NATO i powstałego w odpowiedzi na to agresywne ugrupowanie — Układu Warszawskiego, podkreśla znaczenie częściowych rozwiązań w rodzaju: likwidacji obcych baz i wycofania obcych wojsk, wyzwa do uniemożliwienia dostępu NRF do broni jądrowej, przyjmuje zasadę nienaruszalności granic jako podstawy trwałego pokoju, wskazuje na rozwiązanie problemu niemieckiego na drodze równoprawnego udziału obu państw w procesie odprężeniowym i zbliżenia między nimi oraz wykazuje znaczenie pozytywnej roli, jaką odegrać by mogła konferencja europejska.

„Zwołanie konferencji w sprawie europejskiego bezpieczeństwa i współpracy — czytamy w deklaracji — mogłoby sprzyjać utworzeniu w Europie systemu bezpieczeństwa zbiornego i stać się wielkim wydarzeniem we współczesnej historii Europy”.

Kraje socjalistyczne, przedstawiając swoje poglądy na temat dróg, prowadzących do zapewnienia bezpieczeństwa, wyrażają jednocześnie gotowość rozpatrzenia również innych propozycji, zgłoszonych przez jakikolwiek kraj. Europa bowiem — jeden z najważniejszych ośrodków cywilizacji — powinna stać się kontynentem współpracy równoprawnych narodów i czynnikiem stabilizacji pokoju.

W. SŁAWSKI

P.S. Powyższy komentarz jest setnym. Jak ukazuje się w stałej pozycji „Ze świata”. Autor z owej jubileuszowej okazji pozwala sobie ta drogą podziękować: Czytelnikom, z którymi przez 100 tygodni wędrował przez świat, za życzliwość i uwagę oraz zaprosić do dalszych podróży, kierownictwu redakcji zaś — za przychylnie traktowanie tematyki międzynarodowej oraz pamięć o tym skromnym jubileuszu.

TKronika TYGODNIA

■ Dopiero 5 lipca wspomniano w Pekinie gazety o raz pierwszy o wizycie prezydenta de Gaulle'a w ZSRR.

■ Na przyjęciu z okazji święta narodowego urzędowym w ambasadzie USA w Moskwie nie zjawili się nikt z czołowych radzieckich osobistości. Uważa się, iż ten bojkot dyplomatyczny jest dowodem pogorszenia się stosunków między ZSRR a USA po eskalacji nalotów amerykańskich na Północny Wietnam.

■ Policjanci londyńscy zostali zaopatrzeni w specjalne maski przeciw trującej mgłę, zwanej Smog. Pewne zakłopotanie wywołał fakt, iż jednocześnie wywołał fakt, iż jednocześnie maski te znalazły się na „czarnym rynku”.

■ Angielscy lekarze uważają, iż ani względy fizyczne, ani psychologiczne nie uzasadniają obowiązującej granicy wieku (21 lat) w wypadku małżeństwa bez zgody rodziców.

Opinie lekarzy: „W naszych

■ Arcybiskup Canterbury oświadczył, iż chrześcijanie nie powinni dłużej w milczeniu tolerować tego, co się dzieje w Wietnamie i wzywają Światową Radę Kościołów do natychmiastowego działania w tej sprawie.

■ Ultra-prawicowy nowy prezydent Boliwii general Barrientos oświadczył, iż wzorem dla jego poczynania ustawodawczego będzie prawodawstwo NRF.

„Będziemy się wzorować pod każdym względem na republice Federalnej. Oczekujemy też od niej wydatnej pomocy materialnej”.

■ Po raz pierwszy po wojnie rektorzy wyższych uczelni z NRD wzięli udział w dorocznej zachodniemieckiej konferencji rektorów w Bad Godesberg. Rozmowy odbywały się przy drzwiach zamkniętych. Po zakończeniu narad rektorzy z NRD opublikowali oświadczenie, w którym stwierdzają, że rozmowy przebiegały w warunkach równouprawnienia obu stron.

■ Wilson, członek senatu USA uważa, iż pora skończyć z hucznymi przyjęciami urządzanymi w Białym Domu przez panią Johnson.

„Czytamy często na tej samej stronie gazet, iż nowe tysiące naszych żołnierzy wysłała się na śmierć do Wietnamu a w tym samym czasie Białe Domy jest za przątnięty przygoławianiami uczy weselnej córki prezydenta, w której udział wzięło 2.200 osób. Również w ten sposób Johnson skutecznie niszczy swą popularność” — pisze Wilson.

■ Czasopismo „Młody Komunist” podaje interesujące dane o udziale młodych ludzi w życiu państwa radzieckiego. Odsesek osób w wieku do 39 lat zajmujących stanowiska kierownicze wynosi:

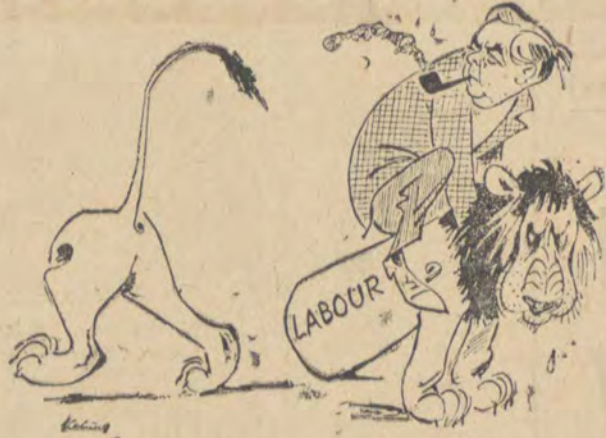
■ w oparciu państwowym 54 proc.; w instancjach partyjnych i związkowych 62,5 proc.; w aparacie wymiaru sprawiedliwości 65,5 proc.; w przemyśle 48 proc.; w handlu 60 proc.; w lecznictwie 51 proc.; w instytucjach badawczych 47 proc.

■ Wśród dyrektorów teatrów, kin, muzeów itp. — 39 proc.

■ Grupa niemieckich lekarzy ustaliła po długich badaniach, iż sportowcy trenujący w ciągu 10 tygodni w warunkach niedostatku tlenu uzyskują następnie wyniki lepsze o ca 20 proc.

„Jeśli nasze badania się potwierdzą — oświadczył kierownik grupy ekspertów — mentującej, prof. dr Hollman — może to oznaczać przewrót w dziedzinie treningu wyczynowego”.

■ Zachodniemieckie gazety podały wiadomość o utrzymanej w serdecznym tonie wymianie listów między kardynałem Wyszyńskim, a zachodniemieckim biskupami tzw. konferencji w Fuldzie (NRF).



Różni w partii?

■ General de Gaulle nie jest zmecony podróżowaniem: w Paryżu mówi się już o podróży prezydenta do Kairu i Adis Abeby. A dalej trasa tej podróży sięgać będzie aż Tahiti i wysp Pacyfiku, gdzie general obejrzy francuską próbną eksplozję nuklearną.

■ Sąd drugiej instancji w Perudzi na Sycylii skazał dwóch mniichów z zakonu Kapucynów na dożywotnie więzienie za współdziałanie z mafią i wymuszanie poważnych sum pieniężnych. W pierwszej instancji braciśkowie zostali uznani za niewinnych.

Tak zwana pomoc dla krajów zafolanych to nie innego jak zbiórka pieniędzy od ubogich ludzi w krajach bogatych dla bogatych ludzi w krajach ubogich.

A. MOZER, POLITYK

czasach 21-letnia młodzież to już niemal zgrzybiały starszakuwie”.

■ (NRF). Odsiadujący karę dożywotniego więzienia G. Sorge (były SS-owiec, nadzorca z obozu w Dachau, udowodnione 67 morderstw) zaproszono przeciw umieszczeniu w jego celi przestępcy seksualnego R. Stracka.

Motywacja byłego esesowca: „Jestem porządnym człowiekiem i nie chcę mieć nic wspólnego z tym wyrzutkiem społeczeństwa”.

■ Na wyższych uczelniach w Niemieckiej Republice Federalnej jest siedmiu etat profesorski jest nieobsadzony. Na 4598 etatów czeka na nominacje aż 654.

■ Rewizjonizm boński straszę w wszelkich dziedzinach życia NRF.

W Düsseldorfie przyznano ostatnio niejakiemu panu G. Papendick „Nagrodę Literacką Prus Wschodnich”.

■ Międzynarodowa organizacja policyjna Interpol przeniosła swą główną kwaterę do nowych budynków w Saint Cloud (przedmieście Paryża). Koszty budowy nowej kwatery głównej — 2,5 miliona dolarów.

■ 18-letnia M. Koschel, morderczyni trzyletniego dziecka skazana została przez sąd dla nieletnich w Essen na 10 lat więzienia, tj. najwyższy w tej instancji wymiar kary.

Interesujące jest uzasadnienie wyroku: sąd uznał, iż do morderstwa pchnęły dziewczynę moralnie szkodliwe skutki lektury powieści kryminalnych.



Nareszcie pełna zgodność: na razie tylko co do kierunku obserwacji (Die Welt)

SIENKIEWICZ A PIŁKA NOŻNA

Mówi się często, że jak już dorocznym zwyczajem nadejdzie lipiec — nie się w sprawach kultury nie dzieje. Wszędzie puchy, ani redaktora znaleźć, ani zaliczki załatwić, szefowie na urlopie, dyrektorzy, naczelnicy, naród też na urlopie.

„Kultura” doszła do przekonania, że właśnie teraz trzeba przedyskutować problem ekranizacji Henryka Sienkiewicza, ścisłej mówiąc — jego „Trylogii”, a jeszcze ścisłej — „Potopu”. W „Kulturze” zagaja z reguły pan Toeplitz, tak też i tym razem było. Wszyscy bez wyjątku dyskutanci, ludzie biegli w sztuce filmowej, lub przynajmniej biegli w wystawianiu opinii tej sztuce zgodzili się, że Sienkiewicz to sprawa narodowa, znaczy — filmowa go warto, a nawet trzeba. Pan Stanisław Trepeżyński powiedział tak: „...trzeba sfilmmować Trylogię! Jest to jeden z naszych obowiązków narodowych, podobnie jak regulacja Wisty”. Przyznam się, że z tych dwóch narodowych obowiązków wybrałbym regulację Wisty, a to dlatego, że wylewy, powódzie, przynoszą nam znacznie więcej strat niż mógłby ich przysporzyć narodowo-filmowy kłopot.

Dyskutanci z „Kultury” także mają sporo wątpliwości. Jerzemu S. Stawińskiemu Trylogia wydaje się powieścią prorządową. Współczesny film także powinien być prorządowy, sek wszakże w tym, że to nie są te same rzędy, ani nawet podobne. Sytuacje także są inne. No, bo jeżeli powstanie Chmielnickiego — jak słusznie mówi p. Stawiński — było zjawiskiem postępowym to znaczy, że Skrzetuski i Podbięta są starymi reakcjoniastami, którzy zarzynają ruch ludowy. Jakże z tego wybrnąć, skoro zgadzamy się, że ideologia Sienkiewicza o „pokrzepieniu serc” jest słuszna? No, jak? Pan Trepeżyński powiada, że najlepiej będzie jak nakreślimy dobry film przygodowy, nie troszcząc się zbytnio o Sienkiewiczowską panoramę historyczną, zresztą: „trzeba otwarcie powiedzieć, że nie sposób pokazać bez zmian i bez retuszu tego obrazu historycznego, jaki przedstawił nam Sienkiewicz”.

Widzą państwo jaki to kłopot? Trzeba, konieczne trzeba, bo to narodowy obowiązek, ale nie bardzo można. Moim zdaniem kłopot przesadzony, nasz film poradził sobie już z kilkoma klasykami, da radę i Sienkiewiczowi.

A znowu „Tygodnik kulturalny” przedłuża telewizyjną dyskusję na temat także barrrdo narrodowy, a mianowicie na temat naszego sportu, ze szczególnym uwzględnieniem piłki nożnej. Myślę,

że dla ludzi oczytanych związek Sienkiewicza ze sportowcami jest oczywisty. Już Wacław Nalkowski wspominał w swoich „Sienkiewiczianach”, że kiedy autor Trylogii przyjechał do Krakowa na swój jubileusz, to go najgoręcej witali właśnie sportowcy, w tym przypadku — cyklisty. No, a w tak zwanej świadomości mas — sport jest nie mniejszą sprawą narodową niż nasz klasyk i jego dzieła.

Rzecz poszła o piłkarza Zygmunta Szmida z GKS Katowice, który chce sobie wyjechać zagranicę, podciągnąć polonijny klub, a i swój stan materialny podciągnąć. Czy mu wolno? Czy to nie jest łamanie moralnych norm naszego socjalistycznego sportu? Czy nasz socjalistyczny sport jest socjalistyczny? Wielkie sprawy, co? Tak też je traktują uczestnicy dyskusji. Pan Salkiewicz z Nowej Soli pisze: „...my — społeczeństwo, państwo, naród — nie mamy zamiaru hodować asów dla potrzeb piłkarstwa włoskiego czy zachodniemieckiego... budowa socjalizmu w kraju o względnie niskim jeszcze stopniu rozwoju gospodarczego, historycznie uwarunkowanym wymaga określonych barier prewencyjnych. Stosujemy te bariery w ekonomice wobec kapitalistów zachodnich koncernów... Jeżeli ktoś pragnie zdobywać laury na dolarowych stadionach — niech jedzie tam jako sportowy surowiec — niech tam, w tamtejszych warunkach dorobi się wysokiego poziomu kwalifikacji wyczynowych”.

Mocne słowa, co? Z jednej więc strony Sienkiewicz, a sprawa właściwie pojętego patriotyzmu, z drugiej prawa i lewa noga Szmida, a polska racja stanu.

A swoją drogą to trochę zabawne. No, bo jeżeli tolerujemy fakt, że nasi piłkarze zajmują etaty, a nie pracują, jeżeli zjawiają się w zakładzie pracy jedynie na każde pierwsze po pieniądze, których nie zarabiają, to przecież z moralnego punktu widzenia lepiej jest, żeby brali nie nasze przecież pieniądze za prawdziwe sukcesy w sporcie.

Obie narodowe sprawy mają u nas wieloletnią tradycję, wybuchają co jakiś czas na łamach prasy, epatują opinie, powodują wrzenie.

hierbazarowski

Wietnam w walce i w pracy

Kraj, w którym trwa wojna — to dominujące uczucie ogarnia obcego przybysza, nim jeszcze koła odrzutowca dotkną lotniska. Na całej długości drogi do miasta zamaskowane dzipy, żołnierze w hełmach osłoniętych liśćmi, liczne stráže wokół rządowych gmachów. Na balkonie banku narodowego karabiny maszynowe wycelowane w niebo.

W mieście porządek i spokój. Na rogach ulic kwiatarki układają i porządkują bukiety gladiolusów i białych lilii; czekają na kupców. W parkach, na ławeczkach, szczególnie w sobotnie i niedzielne popołudnia, tak, jak dawniej, zakochane pary.

W każdej chwili może tu spaść pocisk, niosąc z sobą śmierć i zniszczenie. Jednak Wietnamczycy nie myślą o tym. W ogromnej większości nawet o tym nie mówią. W czasie alarmu wszyscy kryją się w schronach, po odwołaniu szybko wracają do przerwanej pracy. Spokój i organizacja godne najwyższego podziwu.

Towarzysz Au, ujrawszy mnie nazajutrz rano, powiedział:

— Wczoraj zestrzeliliśmy jeszcze dwa samoloty.

— Jak sądzisz — pytam — czy do dnia mojego wyjazdu stracie tysięczny samolot?

Bardzo możliwe.

Jutro, szosa nr 1, udajemy się z Hanoi na południe, do rejonów, które wróg bombarduje najmocniej.

— Bliżsi się już z Francuzami, Japończykami, z marionetkowymi wojskami południa i uważamy, iż walka z Jankesami jest znacznie łatwiejsza.

— Znacznie łatwiejsza? — dziwny się.

— Tak, to ogólna opinia — potwierdza Choang Tung, który jest naszym przewodnikiem. I zaraz dodaje:

— Jankesi mają swoje mocne strony: potężną technikę wojenną, pieniądze... Ale mają też słabe miejsca — przede wszystkim brak bojowego ducha. Nawijając walkę, wielu Amerykanów płacze, a gdy dochodzi do walki wręcz — od razu ustępują. Wicie przecież, co to jest żołnierz z poboru, zmuszony do wojny...

Choang Tung, redaktor jednego z pism partyjnych Północnego Wietnamu, prezydent związku dziennikarzy i kandydat na członka KC partii, szkicuje naprzód mapkę aktualnej sytuacji wojennej na frontach północy i południa kraju. Porównując amerykańskich żołnierzy z żołnierzami innych wrogich armii dorzuca:

— Francuzi mieli Legię Cudzoziemską, dobrze wyszkoloną i twardą. Japończycy, jak wiecie, są odważni i fanatyczni. A Jankesi? Już pierwsze starcia z nimi ujawniły słabe strony Amerykanów i nauczyły nas, jak ich zwyciężać. Rok 1965 był dla nas szczególnie pomyślny. Do końca tego roku liczba zabitych Amerykanów wzrosła do 15 tysięcy. Oprócz tego, w walkach zginęło ponad 200 tysięcy żołnierzy wojsk marionetkowych. Stan na dzień dzisiejszy: znaczna część armii marionetkowej doszczętnie zniszczona, wojska amerykańskie poniosły ciężkie straty.

— Ale przecież Amerykanie mogą rozszerzyć wojnę, zwiększając liczbę własnych wojsk do miliona ludzi?

— Jesteśmy na to przygotowani. Z całą pewnością. Możemy walczyć i przeciwko milionowi amerykańskich żołnierzy.

— Czy bierzecie pod uwagę, że wojna może jeszcze długo potrwać?

— To zależy od konkretnych okoliczności. W każdym razie powinniśmy być przygotowani na wszelkie ofiary. Jesteśmy jednak głęboko przekonani, że Jankesi będą się musieli stąd wynieść. Południowy Wietnam musi być niepodległy.

— Czy amerykańskie bombardowania na północy wyrządzają duże szkody?

— Znaczna część naszej sieci transportowej uległa zniszczeniu. Straty w ludziach nie są tak wielkie. Nieduże straty ponieśliśmy

również w naszym systemie ekonomicznym.

— Jak walczyliście z nieprzyjacielskim lotnictwem?

— Czołową rolę odgrywa tu artyleria przeciwlotnicza. Mamy też samoloty, ale nieliczne. W walkach biorą również udział cywilne oddziały strzeleckie, które zniszczyły już 54 samoloty wroga. Ten fakt ma wielkie polityczne znaczenie: wskazuje, iż cały naród wietnamski walczy przeciwko amerykańskiemu piratom powietrznym.

2.

O godzinie 8 wieczorem opuszczamy Hanoi, udając się na południe. Oprócz kierowcy, towarzyszy nam jeszcze trzech Wietnamczyków. Przejeżdżamy przez mosty wiele razy zburzone i tyleż razy naprawiane. Najdłuższe, których nie sposób odbudować, zastąpiono pontonami lub tratwami. O

Tak przyjęliśmy chrzest bojowy. W napiętej ciszy tropikalnej nocy ruszamy w dalszą drogę na południe.

Posuwamy się drogami prowincji Tchań Choa, nad którą stracono jedną ósmą ogólnej liczby zestrzeconych samolotów amerykańskich. W myśli zadaje sobie pytanie: czy ta okrutna wojna jest tylko prostą sumą bojów (Amerykanie przyznają, iż dokonali 20 tysięcy nalotów na Północny Wietnam), jak na przykład ten, o który otarliśmy się niedawno? Mało prawdopodobne. To nie tylko wojna z „tunderchifami” czy „phantomami”. To wojna o ryż, wojna o transport, wojna ze strachem. I jeszcze wiele innych wojen.

Widomy przykład wojny w Wietnamie — to Nam Rong. Jest to most stalowej konstrukcji, długości 500 metrów, na który Jankesi zrzucili już ok. dwóch tysięcy bomb. Mimo to most jest nieuszkodzony. Ale to jeszcze nie wszystko. Arty-

wskutek silnych bombardowań te zwierzęta uciekają do Laosu?

— Prawda. W sumie dokonano na nas 1.200 nalotów. Zrzuceno około 6.700 bomb, o wadze od 50 do 950 kilogramów.

— Czy Amerykanie bombardują tylko drogi?

— Nie. Również mosty, szkoły, domy starców, przychodnie przeciwgruźlicze...

— Ile samolotów straciście?

— Wszystkiego 127 i 1 hydroplan. Liczymy tylko te, które spadają na terytorium prowincji. Nie liczymy ani uszkodzonych, ani spadających do morza.

— Co jest źródłem tych zwycięstw?

— Upřednie przygotowanie, powszechne męstwo i patriotyzm całej ludności. Duże znaczenie ma też precyzyjne współdziałanie różnych rodzajów wojsk. Jak wiecie, gdy samoloty idą lotem koszącym, skuteczność ognia artylerii przeciwlotniczej znacznie maleje. Natomiast

poznania. Często lałaly nam łuz nad głowami.

Cziong Tchaou, polityczny komisarz rejonu, opowiadał:

— Nasz rejon zajmuje czołową pozycję. Rozciąga się na wybrzeżu, niedaleko pływają okręty VII floty wojennej USA. Wczoraj na przykład Jankesi bombardowali cztery obiekty: przyczółek, dwa mosty, osiedle rybackie. Zrzucili 40 bomb, obeszło się bez strat. Niezależnie od tego rejon czterokrotnie ostrzelały amerykańskie okręty VII floty. Jankesi bombardowali już bez mała wszystkie wsie w rejonie. Ogółem zrzucili na rejon 14 tysięcy bomb, to znaczy, średnio jedna bomba na siedmiu mieszkańców!

W Tin Chia poznałem Nguen Wan Czonga, który rozbroił 7 niewypalów bomb lotniczych.

— Jak nauczyliście się rozbrajać bomby?

— Przeszliśmy mały kurs, Instruktor opisał nam urządzenie i działanie detonatorów różnych bomb lotniczych. Nie mogłem zanotować wszystkiego, o czym mówił instruktor, bo skończyłem zaledwie dwie klasy szkoły podstawowej. Wielu rzeczy po prostu nie zrozumiałem.

— Jak wobec tego rozbroiliście pierwszą bombę?

— Była to bomba o wadze 125 kilogramów. Z początku straciłem głowę i poszedłem szukać sapera, żeby mi pomógł, ale nie mogłem go znaleźć. Długo radziłem sobie z towarzyszem co robić. Nie mieliśmy potrzebnych narzędzi i trzeba było użyć takie, jakie mieliśmy pod ręką. Jakoś poszło. Bomba leżała w środku pola i ludzie bali się na nim pracować, bawół mógł spowodować wybuch. Bombę trzeba było rozbroić...

Zegnając się z Wan Czongiem mocno uścisnąłem mu rękę i wyraziłem swój szczerzy podziw. Popatrzył na mnie poważnie i nie odrzekł ani słowa.

3.

Później zwiedziliśmy niewielką fabryczkę narzędzi rolniczych. Wskutek bombardowań zakład ewakuowano i rozproszono. Dziś jest to 7 oddzielnych działów fabrycznych, rozmieszczonych w domkach z bambusu. Produkuje się tutaj urządzenia do pielęgnacji ryżu, wialnie, wozy. Te ostatnie, jak mnie poinformowano, mają ogromne znaczenie, gdyż dzięki nim realizuje się hasło: „oswobodzić plecy”. Hasło dotyczy powszechnego w kraju środka transportu — nosideł. Na nich to mężczyźni i kobiety przenoszą ładunki o wadze 150 kilogramów.

Zwiedziliśmy szkołę podstawową, w której uczy się 7020 dzieci. I ona, podobnie jak fabryka, jest rozproszona. Uczniowie opuścili murowane gmachy i znaleźli pomieszczenia w skromnych bambusowych domkach, które dobrowolnie odstąpiła im ludność wiejska. W każdym domku wylamano jedną ścianę szczytową, żeby umożliwić dzieciom szybkie zejście do schronów. W czasie mego spotkania z uczniami drugiej klasy, ogłoszono alarm przeciwlotniczy. Dzieci w mgnieniu oka skryły się w schronach, wykopanych w pobliskim ogrodzie. Ostatnie dziecko niosło z sobą grubą bambusową matę, którą zamyka się wejście do schronu. Po odwołaniu alarmu dzieci szybko powróciły do przerwanej nauki...

— Jakich przedmiotów uczą się dzieci? — pytam dyrektora.

— Matematyki, języka wietnamskiego, geografii, historii, przyrody, zasad moralności i zagadnień współczesności.

— Na czym polega nauka moralności?

— Dzieci uczą się — objaśnia dyrektor — na konkretnych przykładach. Uczymy ich właściwego stosunku do ojczyzny, narodu i partii. Szczególny nacisk kładziemy na doniosłą rolę solidarności. Obok tego omawiamy rady dziadka Ho (Ho Szi Minha). Jest ich pięć: miłość do ojczyzny i nienawiść do amerykańskich agresorów, być dobrym uczniem, dbać o jedność narodową i być zdyscyplinowanym, przestrzegać zasad higieny, być prawdomównym i odważnym.

O kilometr stąd znajduje się stacja kolejowa, którą Amerykanie bombardowali już 52 razy. Myślę o tym, że w takich warunkach dzieci łatwo sobie przyswoją miłość ojczyzny i nienawiść do Amerykanów.

* * *

4.

W przeciągu dwóch dni pobytu w rejonie Tin Chia, trzy razy kryliśmy się w schronach. Amerykańskie samoloty latały lotem koszącym, żeby uniknąć radarowego roz-



brzasku rozbiera się je i chowa, maskując na brzegu rzeki, zaś wieczorem — montuje. I tak dzień w dzień i noc w noc...

Na skrajach dróg widzimy duże kopce kamieni; zasypuje się nimi leje po bombach. Mnóstwo roweryzów. Dwa rowery złączone prętami z bambusu tworzą wcale sprawny „furgonetkę”. Można na niej przewozić 300 kilogramowe ładunki.

Przejeżdżamy przez maleńki most, nietknięty przez bomby. Jeszcze dwadzieścia kilometrów i nagle wokół okrzyki: Maj baj! Maj baj!

— Samoloty! Samoloty!...

Szofer momentalnie gasi światła i zatrzymuje wóz. Mija może pół minuty i oto z odległości paru kilometrów niosą się grzmące wybuchy. W górę, na spotkanie samolotom, lecą w czarną noc świetliste czerwono-pomarańczowe smugi. Przewadzą ogień co najmniej cztery baterie przeciwlotnicze. Mija jeszcze kilkanaście sekund i wszystko zwolna zaciemnia. Zrzuciwszy po raz tysięczny swój ciężki ładunek na most Nam Rong, samoloty odleciały na południe. Milkną działa przeciwlotnicze. Znowu zalega ciemna, nieprzenikniona noc. Tu i ówdzie błyskają świetliki.

leria przeciwlotnicza, która go ostania, zestrzeliła dotąd aż 69 bombowców!

W odpiernaniu lotniczych ataków na most, biorą udział dosłownie wszyscy. Nawet dzieci z sąsiedniej wsi, które donoszą żołnierzom wodę. Most łączy dwa ogromne urwiska — Zemezuzin i Oko Smoka. Nawisy skalne nad obu urwiskami częściowo zasłaniają most. Amerykańskie samoloty muszą więc pikać, co ułatwia zadanie obsłudze dział. Jankesi nie zapominają o Nam Rong — codziennie dwa lub trzy samoloty róbują szczęścia. Nierzadko pozostają tu już na zawsze...

W prowincji Tchań Choa, gdzie trwa nieokaleczony most Nam Rong, spotkał się towarzysza Czen Kin Czi z oddziału propagandy. To największa prowincja w Północnym Wietnamie. Na powierzchni ok. 10 tysięcy km kwadratowych mieszka dwa miliony ludzi. Prowincja przybrzeżna, są tu góry i równiny. W górach żyją słonie, tygrysy i niedźwiedzie...

— Czy to prawda — pytam — że

Bułgaria bez turystów



Dalszy ciąg ze str. 1

Baskowski Monastyr zbudowali w 1083 roku dwaj gruzińscy mnisi, Grigorius i Bukariani. Z tamtego czasu ostała się jeszcze cmentarna kaplica, pachnąca wiecznym cieniem i wilgocią — dziewięćset lat! Wewnątrz czworoboku klasztornego stoi jeszcze piękny kościółek Świętego Archaniola z XII wieku — reszta — po zburzeniu przez Turków w piętnastym stuleciu — budowana była od nowa, stopniowo, wiec „nowa”. Nowa, ale w tutejszej bułgarskiej skali. Tu się budoje z kamieni, nie — jak u nas — z drzewa. Budowała kamienna nabywa starości do pięciuset lat, przedtem jest przecież nowiutka. Nowy jest wiec kościół Świętej Marii z 1604 roku, a już całkiem prosto spod pedzła — malowidła Zacharego Zoografa z 1840 roku wewnątrz kościoła.

Po galeriach klasztornych przechadzają się brodacie mnisi i patrz

na nas milczaco z góry. Jeden z nich zbiega po trzeszczących drewnianych schodach, jest kruczoczarny, młody, o nerwowej szczupłej twarzy i przezroczystych dłońach.

— Tu jest reka świętego Kirika — mówi, pokazując coś czarnego w srebrnej oprawie. Muzeum klasztorne to skromna izba, o bielonych ścianach i kamiennej podłodze, mroczna i chłodna. Stoi tu parę szaf, kilka gablot, oparte o ściany włócznie, narzędzia, fragmenty rzeźb. Bez wystawnych efektów i bez tej atmosfery, która by zmuszała do mówienia szeptem, do patosu i zadumy. Brodaty przewodnik mówi: — Tu jest reka świętego Kirika! — tak jakby mówił: — tu jest pojelniczka. I zaraz dodaje: — Tak się mówi, ja nie wiem. Podobno prawdziwa. Ucielił mu ja... — i opowiada króciutką hagiograficzną legendę. — A to podobno drzewo z Krzyża. A tu — mówi szybko, ciągnie nas za sobą — tu różne monety, jest też i wasza...

Nasza moneta — to dukat Zygmunt Starego. Jedna jedyna, obok arabskich, greckich, rzymskich i bizantyjskich. Skąd się wzięła? Stare przedmioty pobudzają łatwo wyobraźnię, to chyba ta ich cecha leży u źródła namietności zbierackich. Ale idźmy dalej za dziwnym człowiekiem, żyjącym tu wśród skał, w pięknym — dla turysty — ale groźnym, surowym, zamkniętym mikroświatku, bez najbliższych, bez zwykłych ludzkich radości, bez prawdziwych w naszym rozumieniu, przeżyć.

Obok monet pokazuje nam czaszkę patriarchy, dalej skorupę ogromnego żółwia, złożoną tu jako votum i dar kosztowny, dalej — drewniany dzwon, który kiedyś zwolował z więzi wiernych do modlitwy. Zamilkł już. Może coś w nim pektó, może stoczyły korniki, a może dzwiczek umiał tylko z wysoka, a tu, położony w kącie, nie potrafił? Szkoda, nigdy w życiu nie słyszałem drewnianych dzwonów.

Deszcz na chwilę ustał i prosto

z muzeum wychodzimy na kamienne płyty klasztornej dziedzińca. Blask jest tak silny, aż oczy boła. Przylapuję się na dojmującej chęci pozostania tu na czas jakiś, powiedzmy — na trzy-cztery tygodnie. Mury zaczynają gadać, ptaki na galeziach rajskiej jabłoni krzyczą, z daleka podzwaniają owce. Kupuję serię zdjęć — można je nabyć na miejscu — i odjeżdżamy. Wracamy do Płowdiw.

Główna, lekko spadziasta ulica ciągną niespiesznie tłumy; zaczęła się codzienna, tradycyjna, przedwieczorna włóczega. O tej porze dnia wszystkie miasta i miasteczka bułgarskie wyglądają tak samo — tłumy na ulicach, przed oknami kawiarni i sklepów gromady mężczyzn z rękami w kieszeniach, rozgażanych, roześmianych jak na rzadkim jakim festiwalu. Tylko obok starego meczetu pusto jakoś i cicho, chociaż stoi w samym środku miasta, ledwie o dwa kroki odsunięty od głównej linii deptaku. Tabliczka na drzwiach podaje godzinę otwarcia, jest właśnie taka godzina. Naćskam klamkę.

I tu — jak w baszkowskiej kaplicy — wchodzi się w chłód i półmrok. Ale inny. Niezego nie ukrywa, nie obiecuje, nie łagodzi — jest po prostu chłodem wnętrza od dawna pustego, pustego w przeraźliwie szeroki sensie tego słowa. A przecież jest to meczet czynony, gdzie nieliczni już dzisiaj praktykujący wyznawcy Mahometa z Płowdiw i okolic schodzą się na rozmowę ze swym Bogiem i Prorokiem. Oto oni: kilku starych, nieogolonych mężczyzn zdejmuje przy wejściu marynarki. Jest tu oddzielony od reszty świątyni drewniana barierka — mały przedsionek, w którym stoja ławy, pod ławkami drewniane trepy, a w ścianie rząd kranów nad kamiennym korwtem. Wierni zdejmują buty, zawiązują nogawki i podchodzą do kranów. Myja się strasznie powoli, jak na zwolnionym filmie, rozmawiają przy tym głośno, śmieją się, przekrzykują szum wody i echo spod wysokich sklepień. Później na czyste nogi włoża trepy i pójdą w głąb świątyni. Gdyby to były kobiety, musiałby pozostać tutaj, w lewo od wejścia, w specjalnym, okratowanym pomieszczeniu. Tam dalej zreszta nie ma. Gładkie ściany i sklepienia, pokryte jednostajnym ornamentem, nie wyobrażającym niczego, bo Koran zabrania malarstwa figuratywnego. Ani jednej ławki, ozdoby, sprzętu, ołtarza — nic komolettne. Tylko pośrodku okrągła sadzawka, otoczona niskim murkiem, tylko kamienna posadzka pokryta szczerbnie bezbarwnym i zniszczonym chodnikiem.

kiem. Wielka, pusta sala; Turcy w kącie gadają poprzez szum wody z otwartych kranów, echo się tłucze gdzieś wysoko, pustka przynębiająca.

Inaczej zapewne wyglądały takie miejsca w czasie pięćsetletniego panowania Turków nad tym krajem. Jednym z braw okupanta było, że żadna chrześcijańska świątynia nie mogła przewyższać mahometańskiej, aby nie uragać bogom zwycięzców. Stąd właśnie w Sofii, gdzie meczet — stojący do dziś — jest niżej, znajdująca się blisko cerkiew muśiała po prostu wejść w ziemię, wystaje nad jej poziom nie więcej niż na metr, jak bunkier.

Było też prawo, rezerwujące wyłączenie dla Turków przywilej noszenia barwnych strojów. To dlatego stare Bułgarki do dziś chodzą jak w żałobach, czarne od stóp do głów. Ale stare kobiety wieczorem z domów nie wychodzą. Tlum na ulicach ubrany tak samo — tyle że mniej pretensjonalnie — jak u nas.

Nocować będziemy w Trimontium. Te starą nazwę miasta, liczącego parę tysięcy lat istnienia, nosi dziś nowoczesny hotel, jeden z największych w Bułgarii. Wykoaliska z epoki kamiennej świadczą, że już wówczas istniało w tym miejscu osiedle ludzkie; starożytni Trakowie zostawili tu swe mogiły w IV wieku przed naszą erą. Filo Macedoński zbudował miasto na wzgórzach, które nazwano Filipopolis; dla Rzymian jednak było to Trimontium — trzy wzgórza. Stercza nadal, każde z osobna, na szerokiej, żyznej równinie Trackiej, miasto obrosło je dookoła i rozpełzło się ulicami daleko za Maryce. Szczyt wzgórz, to najstarsza część Płowdiw. Fantastyczna. Każda uliczka chciałoby się malować, filmować, zapamiętać, każda jest urzekająco malownicza — charakterystyczna. Tu mieszkał przed niespełna stu laty poeta francuski Lamartine, tu okładka można resztki murów sprzed tysięcy lat. Daleko w dole dymia kominy największego tekstylnego kombinatu „Maryca”, za rzeka rozciągała się tereny międzynarodowych targów i wielkie zakłady przetworów spożywczych.

A niedaleko hotelu zatrzymuję mnie sprzedawca gazet: z jakiego miasta jest pan z Polski? Bo ja z Warszawy. I ze śmiechem wyciąga: dziesięć lat my tam za Bieruta mieszkali. Budowaliśmy miasto. Fajnie miasto. Szczęśliwej podróży!

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI



BEZ GLEJTU DLA MORDERCY

Dalszy ciąg ze str. 1

turalnej, ale dopiero współczesna medycyna potrafi określić bez większego pudła przyczynę gwałtownej śmierci. Punkt wyjścia jest zawsze jednakowy. Każdy nagły zgon wymaga wyjaśnienia. Zwłoki są więc przewożone do Zakładu Medycyny Sądowej. Dla wyjaśnienia przyczyn śmierci przywołuje się na pomoc aparaturę tak skomplikowaną, że wole jej nie opisywać. Do dzieła przystępuje też rozbudowany aparat naukowy. Zaczyna się długie, często niewyobrażalnie żmudne badania.

Dlaczego pomocnik ogrodnika z Wiśniowej Góry, padł nagle twarzą do ziemi? Wypadek? Przepięstwo?

Może to śmierć czynnościowa, nieuchwytna dla najczulszych przyrządów i najbardziej wytrawnych speców? Niedawno z bloku na Bałutach wybiegł 17-letni chłopiec. Spieszył przez park do tramwaju. Wtem przewrócił się. Przypadła do niego przechodząca obok dziewczyna. Zbiegli się inni. Gdy chłopca podniesiono, już nie odychał. Zwłoki odwieziono do prosektorium. Badania rozpoczęto, jak każda reguła gry,

od ustalenia okoliczności zgonu. Potem przystąpiono do drobiazowej rozbiorczy ciał. Nie wykryto żadnych zewnętrznych ani wewnętrznych obrażeń. Szukano więc śladu jakichś zmian chorobowych. Szukano klucza. Przecież chłopiec był w pełni sił. Powinien być żyć, a jednak... Wszystkie wysiłki nie przyniosły rezultatu. Klucza nie znaleziono. Zabezpieczono więc materiał do drobiazowej ekspertyzy histologicznej. Może nastąpiły zmiany chorobowe w samych tkankach organizmu? Zbadano ponownie jamę brzuszną. Otworzono klatkę piersiową. Dłutowano nawet kregosłup. Bez skutku. Wreszcie zdecydowano się zabezpieczyć materiał do analizy toksykologicznej. Znane są trucizny, których obecność może wykryć jedynie naukowa analiza chemiczna.

Zagadka pozostała zagadką. Przyczyny zgonu tego chłopca nie wykryto nigdy.

Zadnych śladów nie pozostawia w organizmie także alkohol. Prócz zapachu. Ale zapach rzecz zwodna. Myli. Oszukuje. Prosektor może mieć akurat katar. Jeden zapach neutralizuje często drugi. Z tego względu Zakład Medycyny Sądowej w Łodzi już 10 lat temu zaproponował, aby podczas sekcji pobierano również krew i badano ją na alkohol. Projekt zaaprobowały wszystkie ośrodki medyczne w kraju. Ta decyzja wyraźnie ułatwiła wykrywanie tajemniczych niekiedy zgonów. Starczy czasem pół litra wódki, aby po dwóch godzinach nastąpiła nieuchronna śmierć. Jeśli stężenie alkoholu przekracza w krwi 5 promille, wówczas śmierć jest nieunikniona. Nie ma silnych głów. Koniec końców alkohol jest zawsze silniejszy. Śmiertelna dawka może być nawet stężenie alkoholu w krwi dochodzące tylko do półtora promille. Najwrażliwsze na działanie alkoholu są kobiety, starcy, oraz ludzie, którzy kiedyś cierpieli na uraz głowy.

Tym niemniej w samej tylko Łodzi co roku zdarza się 1-2 wypadki niewyjaśnionych zgonów.

Sa to więc wypadki rzadkie i grubo się myli, kto sadi, że można pozabawić kogoś życia, nie pozostawiając śladów. Człowiek, którego znaleziono na torze kolejowym pod Zgierzem był samobójcą. Nie była jednak samobójczynią kobieta, której pociąg na

jednym z przejazdów koło Łodzi, odciał obie nogi. Zachodziło prawdopodobieństwo, że ktoś usiłował upozorować samobójstwo. Trzeba było przede wszystkim ustalić, czy pociąg przeszedł przez ciało już martwe. Jeśli przeszedł przez ciało żywe, wówczas sekcja bez większych trudności powinna wykryć krwawe wybroczyny. Jeśli kobieta zmarła dopiero później, wówczas powinny objawić się pierwsze ślady gojenia się w postaci nacieków komórkowego i zmian barwionych. Ekspertyza nie ujawniła ani wybroczeń, ani nacieków. Pociąg przejechał martwe ciało. Wiece upozorowano samobójstwo? Tak jest. Pod nieopartym cielem naukowych dowodów do winy przyznał się mąż denatki. Wpierw zadusił żonę, bardzo zresztą sprytnie, a potem ubożył zwłoki na torze. Sadił, że po takiej maszkre nie da się już niczego ustalić. Przeliczył się. Nie docenił możliwości współczesnej wiedzy lekarskiej.

Profesor dowodził:

— Z łatwością potrafimy odróżnić krew ludzka od krwi zwierzęcej. Potrafimy określić grupę krwi z wielokrotnie nawet mytych płam na ubranu. Coś zawsze zostaje w zakamarkach tkaniny i szczerlnach. Dla ustalenia prawdy wystarczy nam dosłownie kilka czerwonych krwinek...

Od siebie dodam, że w jednym mm³ krwi człowieka mieści się aż 4-5 milionów takich krwinek.

Jest reguła, że podejrzenia wywołuje każde nagły zgon na wsi.

Do Łodzi nadszedł anonim, noszący pieczętkę urzędu pocztowego pod Łaskiem. „To nie prawda, że J. S. umarł. Zamordowano go i szybko zakopano w ziemi...”. Prokuratura dla większej pewności nakazała ekshumować ciało. Sekcja należała do niesłychanie trudnych. W ciele zaszyły już daleko idące zmiany gnilne, które zacierają wszelkie ślady w sposób niemalże doskonały. Po wielu godzinach uporeczywych poszukiwań trafiono w jelicie ciałem i grubym na resztki niestrawionych grzybów. Analiza chemiczna wykazała, że grzyby należały do wyjątkowo trujących. Anonim, jak to często się zdarza, okazał się potwarza.

Medycy sądowi muszą jednak być czujni, także podejrzliwi.

To należy do zawodu.

Praworeczny denat strzela do siebie z lewej ręki. Samobójstwo? Wiece dlaczego strzelał do siebie nie z prawej ręki? Tego nikt nie wie. Nikt też nigdy się nie dowie, czemu samobójcy w ostatniej chwili chowają broń do szuflady i zamykają na klucz. Czemu potrafił ten klucz ukryć jeszcze po dywanem. O samobójcach wiemy mało. Wiemy o nich tylko tyle, że bezpośrednio przed śmiercią przyzwyczajają trudne do opisanie chwile zupełnego załamania psychicznego. Pragna jednak mieć całkowitą pewność, że ich zamiar się powiedzie. Stąd chwytają różnych zadziwiających sposobów. Klasycznym przykładem jest ów anegdotalny już żandarm austriacki. Żandarm wszedł na most na Dunaju, przywiał do poręczy petle, założył ją na szyję i strzelił sobie w skroń. Strzyżek się zerwał. Kula tylko zraniła żandarma. Ale żandarm wpadł do wody i utonął.

Kobiety czasem pozorują samobójstwo, aby postraszyć najbliższych.

To duże ryzyko.

Kto zaciągnął sobie postronek na szyję, nigdy już do życia nie wraca. Pewien rumuński profesor tytułem eksperymentu wieszal się w otoczeniu asystentów. Gdy wieszal się z podpórki, tracił przytomność po 30 sekundach. Gdy wieszal się bez podpórki, tracił przytomność po 10-15 sekundach. Sa ludzie, którzy na stryczku tracią zmysły już po 5 sekundach. O uratowaniu się mowy być nie może. Zdradliwy jest również gaz. Kobieta odkreca kurek. Niedługo wróci z pracy mąż. Wiece go postraszy. Kobieta czuje coraz silniejszy zapach gazu, ale nie czuje niczego więcej. Wtem pada na podłogę. Zachowuje pełną przytomność. Wciąż żyje. Leży jednak bez ruchu. Mięśnie, osłabione brakiem tlenu raptem przestają działać. Zbliża się śmierć. Kobieta chciałaby się podnieść, ale już nie może.

Czy lekarze mogą już wszystko i sa wszystkowiedzacy?

Nie, nie sa.

Popelniają, niestety, rażące pomyłki, brzemienne w fatalne skutki. Sa pomyłki i pomyłki. Werdykt lekarza jest często równoznaczny z werdyktem sędziego. Pomyłka w określeniu przyczyny zgonu — umarza

Niedzielne POPOŁU DNIE

Był czerwiec, była niedziela i był ogród. Ogród pełen był świergotu i śmiechu malców kąpielących się w przenośnym basenie. Niezłoty, w obrotowej dzikim winem, panowie popili piwo i graliśmy skata. Pod niedawno przekwitniętym drzewem jabłoni, siedziała w sukience Rossi. Zmęczona pracą całego dnia, sycyliśmy się ciszą, słonecznym powietrzem.

mnie zielonych, zakochanych oczu. Jakoś niepostrzeżenie i zupełnie machinalnie zaczęłam nucić piosenkę o Mokdawie. Po chwili spostrzegłam że Rossi wstaje mi cicho.

„Es wechseln die Zeiten, es hilft kein Gewalt.“ — Zmieniają się czasy i nie ma na to rady... Nasze oczy spotkały się i uśmiechnęłyśmy się do siebie.

— Trzeba sobie powiedzieć, że Brecht nie oszczędza nas — powiedział Rossi i zaraz dodała — ale w tym co napisał, nie ma ani słowa kłamstwa.

I Rossi zaczęła nucić brechtowską przeróbkę Horsta Wessela.

„Der Metzger ruft, die Augen zugeschlossen.“ — Jakże mi to przypomina czasy Hitlerjugend!

Podniosłam się i spojrzalam na siedzącą przede mną młodą kobietę. No tak, w czasie wojny Rossi była już w wieku objętym działalnością tej niestawnej pamięci organizacji. Do tej pory jakoś nie przyszło mi to na myśl. Może właśnie dlatego zapytałam wprost:

— Rossi, ...czy i ty byłaś... w Hitlerjugend?

— Naturalnie, że byłam. Przez szkołę Hitlerjugend przeszliśmy wszyscy. Musieliśmy przejść wszystkie

— A jeśli ktoś się wzbraniał, jeśli na przykład, nie życzyli sobie tego rodzice dziecka?!

— Nie zapominaj, że rządy faszystów działały na zasadzie szantażu. Jeśli ktoś był nie dość posłuszny, natychmiast wyciągano konsekwencje. Najpierw były rozmowy z funkcjonariuszami, potem utrata pracy, wreszcie — podejrzenie o komunizm.

— Czy wielu było tych „nie dość posłusznych“? — zapytałam.

— Nie mogę ci powiedzieć, że było ich wielu, ale jednak była ich w Gerze spora grupa. I wszyscy z nich mieli kłopoty. Faszystom był w Niemczech systemem, był formą społecznego sposobu bycia — a przeciwstawianie się czemuś takiemu jest bardzo trudne. Jako przykład opowiem ci coś. Kiedy byłam w Hitlerjugend popadłam w kłopoty z władzami szkolnymi tej organizacji. Oto jak do tego doszło.

W każdą sobotę chodziliśmy do domów funkcjonariuszek i zbieraliśmy składki na „cele społeczne“. Na te składki mieliśmy przeznaczony pieniądze, za które kupowało się normalnie „Sonntagsbraten“ — niedzielny pieczeń. Otóż według zaleceń władz, mieliśmy i w niedzielę jeść „Eintopf“, a zaoszczędzone w ten sposób pieniądze oddawać na owe „cele społeczne“. W domu u nas nie przelewano się i moja matka za każdym razem była bardzo zdenerwowana. Wreszcie kiedyś nie

wytrzymała i warknęła do żegnającego ją „Hajtem“ funkcjonariusza: „Zu mir, können sie ruhig „Guten Tag“ sagen, Herr Müller!“ — Może mi pan spokojnie mówić „Dzień dobry“, panie Müller!

Bardzo mi się to spodobało i kiedyś przy jakiejś okazji zachowałam się tak samo w szkole. Zrobiono z tego aferę. Grożono ojcu utratą pracy, jeśli nie będzie w stanie „wychować“ córki. Wówczas rodzice powiedzieli mi: „Patrz, słuchaj, ale milcz i nie daj się sprowokować, bo wyślesz ojca do KZ-tu“. „Spytałam matkę, co to jest ten — KZ. Powiedziała mi tylko, że jest to coś, skąd się już nie wraca. Później zresztą dowiedziałam się w szkole, co to jest KZ. Miałam koleżankę, której ojciec „pracował“ w Buchenwaldzie. Mała poczytywała to sobie za honor i chwaliła się „wyczynami“ ojca... Zresztą i w szkole i w organizacji dawano sobie świetnie radę z dziećmi... Gdy ktoś nie słuchało, bito w pysk. To stara pruska metoda... Zapadła chwila milczenia. Jednak nie wytrzymałam.

— Zdarzyło ci się oberwać? — zapytałam.

Rossi zaśmiała się nerwowo.

— Zdarzyło. Za Stalingrad.

— ?!

— Właśnie były to dni klęski stalingradzkiej. Ludzie wiedzieli już że nasi po prostu uciekają przed Ruskimi. Trzeba przyznać, że byli tacy, którzy się z tego po cichu cieszyli. Otóż pewnego dnia mieliśmy lekcję angielskiego. Nauczycielka wchodząc do klasy pozdrowiła nas jak zwykle: „Guten Tag, meine lieben Kinder, Heil Hitler, wir grüssen unsere siegreiche Soldaten!“ — Dzień dobry, moje drogie dzieci, Heil Hitler, pozdrawiamy naszych zwyciężczych żołnierzy!

Rozśmieszyło mnie to, bo pomyślałam sobie, że właśnie nasi „zwycięscy żołnierze“ dostali bity pod Stalingradem. Parsknęłam śmiechem. Nauczycielka podeszła i uderzyła mnie w twarz. Zobaczyłam wszystkie gwiazdy. Już miałam wybież z klasy, kiedy przypomniały mi się słowa matki: „...bo wyślesz ojca do KZ-tu“.

— I co, nie zrobił tata awantury w szkole?

— Nawet nie przyznałam się ojcu. Powiedziłam tylko matce. Obie byłśmy szczęśliwe, że tym razem nie zrobiono z tego afery. Być może, że na zasadzie przekory znienawidziłam moje władze szkolne i organizacyjne. Zresztą nie tylko ja jedna. Była grupka uczniów którzy przesiadali brać bezkrytycznie to wszystko, czego nas uczono w Hitlerjugend i w szkole. W waszym gronie zaufanych witaliśmy się parafrazą hitlerowskiego pozdrowienia: „Heil und Sieg! Nie wieder Krieg!“ — A trzeba ci wiedzieć, że każdy, kto choć słowo powiedział przeciwko wojnie, uważany był za wroga „Führera“.

— A powiedz mi, Rossi, co właściwie robiliście w tej Hitlerjugend?

— Uczono nas np. śpiewać. Repertuar na ogół znany — „Die Wacht am Rhein“, „Die Fahne hoch“... A przede wszystkim wpajano w nas przekonanie, że każdy cudzoziemiec ma się tak do Niemca. Jak podwórzowy kundel do owczarka alzackiego pełnej krwi.

— Czy byli tacy, którzy naprawdę w to wierzyli?

— Głupich nie brak na świecie. Ale poza tym, nie zapominaj o tym, że Hitler obiecywał domki z ogrodem i Volkswageny... A jeśli chodzi o „utrzymanie czystości rasy“, to wiesz sama dobrze, co wyprawiali nazi z własnymi rodakami, jeśli wydali im się „rasowo podejrzan“!

Wiedziałam, ale pozwoliłam jej mówić dalej.

Mieliśmy tu w Gerze lekarkei bardzo lubianą i cenioną przez pacjentów. Lekarzka ta miała wrodzoną wadę stopy. Nazi zażądali od niej by się poddała sterylizacji. Lekarzka powiedziała, że owszem, na się wysterylizować, jeśli przed tym zrobi to samo pan Goebbels, który ma przecież szpotawą stopę.

— I co się z nią stało? — zapytałam przygotowana na najgorsze.

— Nic. Zostawiono ją w spokoju. Lekarzki mieli u nas zawsze specjalne prawa. A w ogóle — to przykład tej lekarzki jest najlepszym dowodem, że można było żyć, nie konieczne godząc się na wszystko... A teraz opowiem ci jeszcze coś.

W pewnej naszej znajomej rodzinie było niedorozwinięte dziecko. Dziecko to przyjeżdżało do specjalnego zakładu, w którym miało ono być poddane leczeniu i troskliwej opiece wykwalifikowanego personelu.

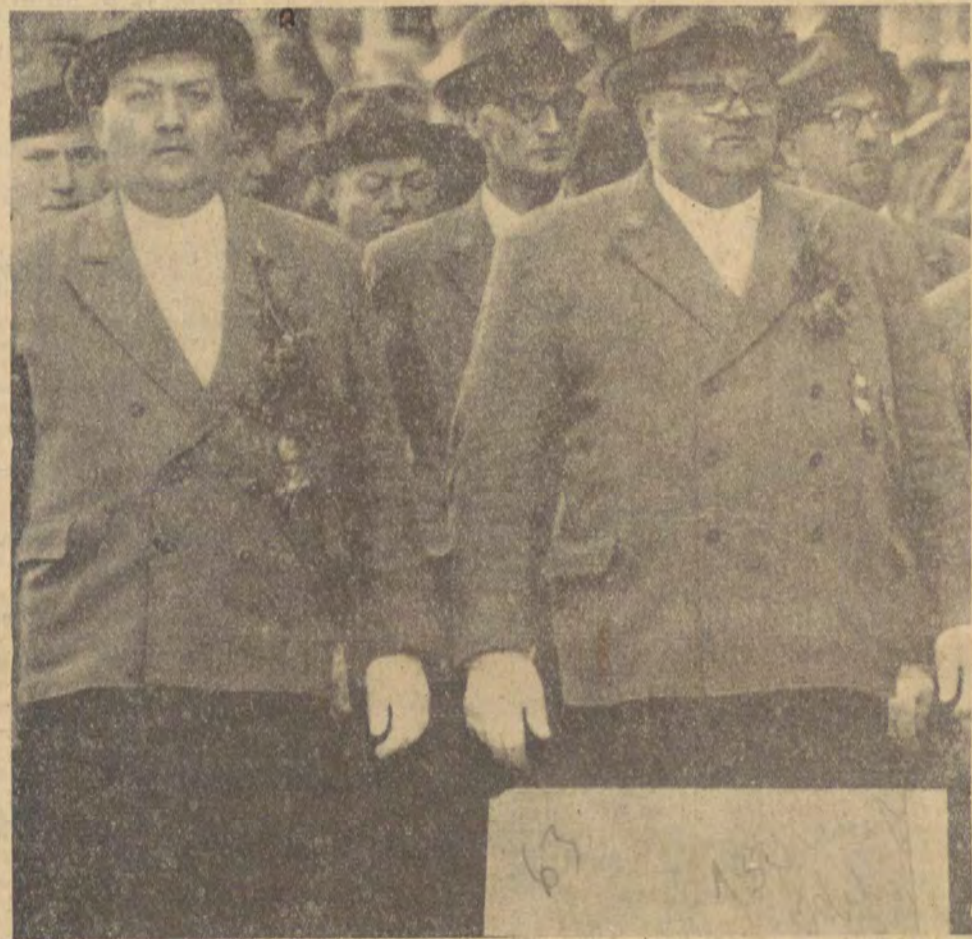
Rodzice kochali małą. Odwiedzali ją często, przywozili ubranka i zabawki. Po jakimś czasie przeniesiono dziecko do innego zakładu. Dziewczynka mizerniała z dnia na dzień i wydawała się ciężko chore. Rodzice chcieli wezwać lekarzy na konsultację, albo zabrać dziecko do domu. Nie zgodzono się ani na jedno ani na drugie. Wreszcie odmówiono rodzicom prawa do odwiedzenia dziecka. Niedługo po tym rodzice otrzymali zawiadomienie o śmierci dziewczynki. Ojciec pojechał na miejsce i uciekając się do rozmaitych podstępów przeprowadził śledztwo na własną rękę. Okazało się, że na grupie niedorozwiniętych dzieci przeprowadzono eksperymenty z nowymi lekami, a później wysłano je do komory gazowej. Wśród tych dzieci była także córeczka naszych znajomych.

Ojciec chciał oddać sprawę w ręce sądu i pociągnąć do odpowiedzialności morderców dziecka. Zdołano mu to jednak wyperswadować. Morderców dzieci chroniło barbarskie prawo hitlerowskie. Ojcu zamordowanego dziecka groził KZ, gdyby skarżył się zbyt głośno... Podobnie zresztą jak rodzinom pomordowanych antyfaszystów kazano milczeć, i jak na sztywno opłacać jeszcze rachunek za koszty egzekucji...

Prawdziwość tej ostatniej potworności potwierdziło mi w Niemczech jeszcze wiele osób. Zresztą podobne rachunki oglądałam sama w muzeum w Buchenwaldzie.

O tych sprawach, o których dopiero co mówiła Rossi, czytałam w Polsce niejedno. Inaczej jednak wygląda prawda poznana przez literaturę, a inaczej przez osobisty kontakt z nocnymi świadkami! Siedzieliśmy milcząc obok siebie. Jakub i Kati opaleni na czekoladkę i ociekający wodą po kapeli przedzierali się do nas skacząc z piśkiem przez lachocące keptki trawy.

— Ta dziewczynka, o której ci mówiłam, była niewiele starsza niż tych dwoje... — powiedziała Rossi.



śledztwo, które nie powinno być prowadzone. W takim wypadku wolnością się człowiek, który nosi stygmat mordercy na czole.

Profesor końcem palca dotknął leżącą na nim na biurku szklankę te czkce. W badaniach i eksperymentach uczestniczyło całe mrowie ludzi na różnych stacjach. Wszystko na próżno. Dlatego na terenow lekarz dokonał wadliwej sekcji. W lesie pod Olsztynem znaleziono podczas zimy ciało młodej dziewczyny. Wzrost 1,60 m, ciężyła 45 kg. Wygląd jak dziewczyna z południa. Wykazała ślady otarcia, tak samo otarcia na kończynach dolnych... I dalej do otarcia te wystąpiły dopiero po sekcji. Profesor był wyraźnie zdenerwowany. Jakże po śmierci, skoro dziewczyna była ubrana! Gdzie tu szukać szczypty ludzkiego tylko sensu? Niestety, korekty w opis wprowadzić już się nie da. Za

dziewczynę uduszono i porzuciła w lesie? Może była pijana, pobłądziła? Lekarz spod Olsztyna popełnił błędów. Nie naszkicował nawet położenia zwłok, choć nie sfotografował. Nawet ich nie sfotografował. Prawa będzie umorzona. Nie można prześlado nikogo oskarżać, skoro nikt nie ma z całą pewnością. Same poszlaki i podejrzenia — to za mało. Jakże mi to smutno. Więc to tak.

Właściwość musi cechować profesora, jakże wiedza i jaka praktyka.

W pomyłki zdarzają się tylko w dalekich powiatach? Skądże. Zejdźmy z obłoków nad Łódź i spadaj starszy już człowiek. W Łodzi natychmiast znalazł się na miejscu szpitalny radiowóz. Człowiek wymiotował. — Urząd się — orzekł milicjanci. — Przewieźli człowieka do izby wytrzeźwień. Tam zajął się nim dyżurny felczer. Człowiek wciąż bełkotał, ale można się było z nim porozumieć. Na stole przed felczerem postawiono skórzana teckę. W niej były pustych butelek po winie i wodce. Felczer uznał, że szkoda czasu na badanie. W końcu facet jest kompletnie zalany. Nie ma czasu, by dłużej bawić się w cegiele.

Mezyczna umarł. Ano, zdarza się... Sekcja zwłok wykazała jednak, że mężczyzna był naizupełniej trzeźwy i nie wziął do ust ani kropli alkoholu. Chorował od dawna na silne nadciśnienie. Krytycznego dnia nastąpił krwotok. Felczer tego nie rozpoznał.

Została naruszona podstawowa zasada gry.

Najprostsza reguła najbardziej prymitywnej etyki nakazuje traktować człowieka, który pada na ulicy jako chorego. Potem dopiero jako pijaka. Jeśli osobnik w ogóle pijakiem jest. Pewnie, że wiele z tych pomyłek prostuje Zakład Medycyny Sądowej. Pewnie, że praca każdego lekarza jest związana z pewnym ryzykiem. Lekarze w Stanach Zjednoczonych, w obawie przed odpowiedzialnością, ubezpieczają się od tego ryzyka na olbrzymie sumy. Każdy lekarz jest narażony na popełnienie błędu. Im jednak większa sprawność, im szersza wiedza i doświadczenie, tym ryzyko mniejsze. Profesor opowiadał, że niestety, w całym kraju posiadamy tylko 70-80 medyków zawodowych z prawdziwego zdarzenia. Duża część lekarzy to ludzie przygodni, którzy niekiedy dokonują kłopskich sekcji i wydają czasem fałszywe opinie. Dorabiają na medycynie sądowej, choć nie mają po temu żadnych absolutnie kwalifikacji. Medycyna sądowa parają się wszyscy w głębokim terenie, choć tak naprawdę, zna się na niej tylko garstka.

Co więc robić?

Szkolić medyków zawodowych, dokształcać tych, którzy zajmują się tą dziedziną w dalekich powiatach. To nie tylko problem lekarski. To również duży problem wymiaru sprawiedliwości. Sady nie mogą w dzisiejszych czasach dobrze funkcjonować, jeśli nie są wsparte nieomylnie działającym szerokim zespołem sądowych medyków. Nie ma rzeczy o wyższej randze społecznej niż sprawiedliwy wyrok. Jakże ten wyrok może być sprawiedliwy, skoro nad zwłokami pochylał się dyktant? Lekarz może uchronić sąd od błędu. Lekarz może jednak pchnąć sąd do popełnienia błędu. Wadliwie przeprowadzona sekcja to gleź dla mordercy.

Bo jeśli czasem Temida błądzi, to nie zawsze z własnej tylko winy.

JAN BABIŃSKI



„OSNOWA” NA KTÓRĄ CZEKAMY

Od 1963 roku ukazuje się w Łodzi periodyk literacki: „Osnowa”, będący w zasadzie rocznikiem. Przy licznych i prężnym środowisku literackim naszego miasta — częstotliwość ukazywania się „Osnowy” jest z pewnością za małą, zaś niewielki nakład i ograniczony zasięg „Osnowy” nie pozwala zaprezentować dorobku naszych poetów, pisarzy i krytyków na szerokim forum. Ideальnym rozwiązaniem tego problemu byłaby przemiana rocznika w kwartalnik. Czy jest to możliwe? Jakie zmiany zasłoby w „Osnowie” kwartalnika? Jak widzą „Osnowę” w przyszłości: wydawcy, redaktorzy, plastycy, księgarze i ludzie nauki?

Oto odpowiedzi, których udzielił redakcji „Odgłosów”:

REDAKTOR NACZELNY
„OSNOWY”

Marian Piechal

Miasto dojrzało do tego, aby mieć organ reprezentujący wszystkie środowiska twórcze. Organ taki mógłby urabiać środowiska, odpowiedzialnie kształtować gusty i kontynuować tradycje kulturalne, które przecież w Łodzi istnieją.

Czy są szanse na powstanie podobnego czasopisma?... Oczywiście. W zasadzie już teraz można mówić o narodzinach łódzkiego kwartalnika bowiem uzyskaliśmy zgodę władz na wydawanie „Osnowy” co trzy miesiące. W bieżącym roku ukazały się jeszcze dwa numery i jeżeli ograniczona wydolność produkcyjną Wydawnictwa Łódzkiego nie stanie nam na przeszkodzie, ukazywać się będziemy punktualnie.

Chciałbym jednak od razu się zastrzec, że „Osnowa” — kwartalnik jest tylko etapem przejściowym, prowadzącym do „Osnowy” — miesięcznika: pisma społeczno-kulturalnego które omawiać będzie aktualnie na żywo problemy i osiągnięcia naszych środowisk twórczych. Potężne zaplecze literatów i plastyków, dynamiczne koła naukowe oraz aktywne kręgi muzyczne i teatralne — wszystko to, co przybiera na sile, co wzbogaca się z roku na rok o młode nowe sily — wszystko to musi znaleźć swe odbicie na łamach „Osnowy” przyszłości.

Zdaje sobie sprawę, że rozszerzenie tematyki „Osnowy” i zwiększenie częstotliwości ukazowania się tego pisma muszą pociągnąć za sobą poważne zmiany. Aby sprostać wymogom wszystkich środowisk twórczych (a więc: nie tylko literackiego) koniecznością będzie wprowadzić do kolegium redakcyj-

nego przedstawicieli innych sztuk, jak plastyka, muzyka, film i teatr. Oni redagowaliby ogólne działy „Osnowy” i każdy z nich utrzymywałby ścisły kontakt ze środowiskiem, które tu, w redakcji reprezentuje, za które moralnie odpowiada.

Na zakończenie pragnę powiedzieć parę słów na temat nakładu „Osnowy”. Nie jest on duży, i wcale nie musi być duży. Przecież stworzona przez mnie wizja pisma — to organ profesjonalny, przeznaczony dla wyrobionego czytelnika. Przyjdzie być może czas, że ilość wyrobionych czytelników znacznie rośnie (obymy na to mieli wpływ) i wówczas nakład także wzrośnie. W sposób naturalny.

KIEROWNIK KATEDRY TEORII
LITERATURY UL

Prof. dr Stefania
Skwarczyńska

To oczywiście, że Łódź należy się kwartalnik społeczno-kulturalny o zasięgu ogólnopolskim. Już niemalże każde wojewódzkie miasto ma tego typu periodyk. Niedawno — 15 czerwca 1966 r. — ukazał się pierwszy numer „Kwartalnik Rzeszowski”, wydany przez Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki. W ten sposób zostaliśmy zdystansowani przez miasto, które liczy kilkanaście razy mniej mieszkańców niż Łódź, którego potencjał naukowy i kulturalny w żadnym wypadku nie może dorównać Łodzi.

Dochodzą mnie słuchy, że kwartalnikiem ma zostać „Osnowa”. Ależ to najwyższy czas! Jestem głęboko przekonana, że osiągnięcia łódzkich środowisk naukowych i twórczych już od dawna zasługują na szeroką pozaregionalną ekspozycję. Pismo czerpiące z regionalnych soków (tych najlepszych) i rozchodzące się do wszystkich zakątków Polski — to cel wart każdej batalii.

Jak ja widzę „Osnowę” w przyszłości? Po pierwsze: ukazującą się regularnie, bez opóźnień. Dalej: redagowaną według pewnego planu, perspektywnie, niezależną od przyśpieszonych materiałów i humoru redaktorów, wolną od rozgrywek personalnych, które toczą się przecież na łamach wielu polskich czasopism.

Poza tym — należałoby podzielić „Osnowę” na szereg działów. Dla przykładu:

- a) dział twórczości literackiej w zakresie poezji i prozy;
- b) dział krytyczno-teoretyczny, który opierałby się przede wszystkim na esejistyce (dotyczącej, oczywiście, nie tylko literatury, ale także innych dziedzin twórczości);
- c) dział sprawozdawczy — więc recenzje pozycji ukazujących się w Wydawnictwie Łódzkim oraz tych książek, które ukazują się poza Łodzią, ale w jakiś sposób jej dotyczą.

Dobrze byłoby także wygospodarować miejsce na dariusz kultury łódzkiej z przeglądem kwartalnym faktów kultury społecznej — teatru filmu, muzyki, plastyki i literatury.

Taki model pisma wymaga sztabu współpracowników — fachowców — młodych badaczy, pracowników naukowych, krytyków i historyków literatury, „dyplomowanych” znawców artystycznego tworzenia. Jakkolwiek lubię czasem czytać dyletantów (ich uroczą naiwność i świeżość, ten brak rutyny), to jednak holduję twierdzeniu, że wielka sztuka jest determinowana w

ważnym stopniu przez wielką krytykę.

REKTOR PAŃSTWOWEJ
WYŻSZEJ SZKOŁY SZTUK
PLASTYCZNYCH

Zdzisław Głowacki

Łódź nie posiada w zasadzie czasopisma kulturalnego o zasięgu ogólnopolskim. „Odgłosy”, choćby z racji problematyki jaką podejmują, są tygodnikiem regionalnym, natomiast „Karuzela” — pismo satyryczne — nie może przecież pełnić funkcji trybuny społeczno-kulturalnej: nie zajmuje się ani rzeczową krytyką, ani twórczością „na serio”, za co — oczywiście — trudno mieć do niej pretensje.

Zostaje jeszcze „Osnowa”. Kwartalnik?... Daj Boże. Jestem gorącym rzecznikiem tej sprawy. Wierzę, że taka przemiana załatwiaby w poważnym stopniu lukę, jakie istnieją w łódzkiej prasie kulturalnej, że pozwoliłaby zejść niektórym istotnym problemom kultury i sztuki z marginesów na centralne szpalty. Już od dawna łódzkie środowisko artystyczne zasługuje na szeroką uwagę, więc „Osnowa” przyszłości winna być kwartalnikiem o wielotyśmicy nakładzie i szerokim za-

strawiać, opatrzyć w szeroki wachlarz plastyczny, odbijający wszelkie przejawy nowoczesnej sztuki. Nie ograniczać się przy tym do środowiska łódzkiego. Zamieszczać dzieła twórców innych środowisk, nawet zagranicznych. W ten sposób pismo zdobędzie rangę.

I jeszcze jedno: posiadamy w Łodzi GRAFICZNA PRACOWNIA DOSWIADCZALNA. Toż to niewykorzystana szansa! Zamieszczanie w prasie barwnych, oryginalnych kolorystem reprodukcji nie stanowi wcale dla pracowników GPD problemu. Jestem przekonany, że współdziałanie redakcji „Osnowy” z tą placówką przyniosłoby ciekawe efekty.

KIEROWNIK DOMU KSIĄZKI
„PEGAZ”

Jan Gierańczyk

„Osnowa” nie idzie nadzwyczajnie. Trudno to ukryć. Nigdy nie zamawiam więcej, niż dziesięć egzemplarzy, a i te nie znikają jak kamfora.

Co jest tego powodem? Ano, moim skromnym zdaniem, niedomaga przede wszystkim reklama. Przypadłyby się liczniejsze zwi-



sięgu; chciałbym widzieć ją na wystawach Krakowa i Warszawy. Pewnie, że nawet jako kwartalnik będzie dawać informację spóźnioną, ale lepsza taka informacja niż żadna. Lepsze — wreszcie — spóźnienie o miesiąc, niż o rok.

Zresztą — chodzi nie tylko o informację, aczkolwiek były one zaw sze i będą znakomitym środkiem-dopingiem dla artystów, zaś dla pisma — gwarantem wysokich nakładów (który malarz nie kupi „Osnowy”, gdzie jest recenzja z jego wystawy?). Chodzi tu również o poświęcenie większej ilości miejsca artykulom problemowym, traktującym o sztuce obszernie, wnikliwie, z pozycji fachowej. Zgoda, jest to sprawa dla elity. Ale sztuka — niestety — zawsze była elitarna, i ambitne pismo musi kroczyć w tym kierunku.

Przejdźmy teraz do innej kwestii: strony graficznej. „Osnowę” trzeba uatrakcyjnić: bogato ilu-

strony i recenzje w prasie. Przypadłyby się reklama telewizyjna i radiowa. Te środki są niezawodne. Służę przykładem: Gustaw Holoubek przeczytał jedno z opowiadań Jana Czarnego, i „Tresowany motyl” błyskawicznie zniknął z moich półek. Magia radia i telewizji jest wielka. Pewnie, że nazwisko lektora też się liczy — nie każdy umie czytać jak Holoubek, nie wszyscy mają głos Lapickiego — jednak wśród łódzkich spikerów też znajdują się dobrzy interpretatorzy poezji i prozy, które — jako literatura — broją się ponadto wewnętrznymi walorami.

Drugą przyczyną słabego popytu na „Osnowę”, jest wahlność terminów, w których to czasopismo wychodzi. Nigdy nie wiadomo, czy będzie to czerwiec czy lipiec, zima czy lato. Taka niewiadoma zniechęca czytelnika. Znowu przykład: pewien student dwa razy przycho-

dził pytać o „Osnowę”. Kiedy miała jeszcze w drukarni. Był dla mnie znak, że trzeba zamówić kilka egzemplarzy. Gdy jednak „Osnowa” przyszła — zabrakło studenta. Być może — kupił ją w innym sklepie, ale moim zdaniem zniechęcił się po prostu, machnął ręką. To pewnie, że czy „Osnowa” zostanie kwartalnikiem czy nie, zależy termin wyjdzie jej na dobre. Czytelnik lubi, gdy traktuje się poważnie.

Trzeciej przyczyną niewielkiej popularności „Osnowy” dopatrzeć się w szałce graficznej. Niech przypomina „Twórczość” z okładki. Niech przemówi z zewnątrz, łorową reprodukcją. Z wieloletniej praktyki księgarskiej czerpię przekonanie, że wizualne walory książki, niejednokrotnie, czynnikiem cydującym przy sprzedaży. Pięknym plaszczkiem można mieć nawet złą literaturę, a pięknie utwory drukowane w „Osnowie” do takiej literatury nie należą i ze wszech miar zasługują na większy niż dotąd krag odbiorców.

Na pytanie, kto czyta „Osnowę” odpowiedzieć mi niełatwo. Jeśli chodzi o moją księgarnię — wśród kupujących spotyka się najczęściej dzieła o długiach literackich, a czytelnika o wyrobionym smaku. Czasami kupuje także „Osnowę” młodzież ze starszych klas licealnych.

Myślę, że w pogozł za odbiorcą można by spróbować przedrukować czasopisma przez „Ruch”.

DYREKTOR
WYDAWNICTWA ŁÓDZKIEGO

Aleksander Postołow

W Łodzi odczuwa się potrzebę pisma, które byłoby nie tylko manachem literackim, (jak dotychczasowa „Osnowa”), ale także rydkiem o charakterze społeczno-kulturalnym, obejmującym zarówno twórczość pisarską jak teatralną, sztukę, muzykę czy zagadnienia architektury. Specyfika naszego miasta nakazuje posunąć się na jeszcze dalej: nie od rzeczy byłoby udostępnić łamy „Osnowy” dla łączym kulturalnym, którzy pracują na odcinku kultury masowej, w zakładowych klubach i świetlicach. Wydaje mi się, że pomógłby pisarzom i artystom zacieśnić kontakt z terenem, z szerokim odbiorcą, że pomógłby zrozumieć rzeczywiste potrzeby społeczeństwa w zakresie kultury i oświaty.

Takie poszerzenie tematyki winno nastąpić i — o ile się oparte — tendencje zespołu redakcyjnego zmierzają właśnie w tym kierunku. Bezwalpienia wpłynęło to datnio na popyt „Osnowy” w społeczeństwie; przypuszczam, że w ten sposób z czasem na niesienie pakładu, który do tej ry jest niewielki.

Od roku 1963 ukazały się cztery numery „Osnowy”. Pierwszy nakład tysiąca egzemplarzy i choć był całkowity.

W roku 1964 nakład wynosił 1000 egzemplarzy, ale 431 nie zostało sprzedanych. Sklonilo to na zmniejszenie nakładu w roku 1965 do 1.100 egzemplarzy. Znowu zwroty. Wynosiły 277 egzemplarzy. Jak będzie w roku 1966 — jest mi wiadomo. W każdym razie nakład spadł do 1.000 egzemplarzy co jest najlepszym dowodem, że naszym trudnym terenie produkcja „Osnowy” staje się nieuchronną koniecznością.

JAN KOPROWSKI

Koniec czy początek?

O godzinie ósmej wieczorem w domu na wzgórzu zgasiło światło. Pierwsza zauważyła to matka. Przywołała nas z pokoju do kuchni.

— Coś się musiało stać. Jak świat światem stary nigdy nie gasił światła o tej porze — powiedziała.

Stary nazywał się Józef Nestor. Ale matka nigdy nie mówiła na niego po nazwisku, które wydawało jej się dziwne i niezrozumiałe. Ojciec odezwał się po chwili:

— Może zachciało mu się spać, a może po prostu światło nawaliło.

Matka nie dawała za wygraną.

— Płaczysz trzy po trzy. Sam wiesz najlepiej, że odkąd stary zamieszkał w tym domu, gasił światło o dziesiątej wieczorem.

Regularnie jak z zegarkiem w rękę. A jakby mu się co popsuło, to by przecie zapalił świeczkę lub latarke. Nie szedłaby po ciemku, jak dzikus.

Przypominam sobie, że istotnie według Nestora można było nastawić zegarki i ojciec mój czynił to wielokrotnie. Gdy w domu na wzgórzu gasło światło, to znak, że właśnie wybiła dwudziesta druga. Nieraz nawet włączaliśmy radio dla sprawdzenia. Nie zdarzyło się, aby Nestor pomylił się kiedykolwiek. Mnie ten dom na wzgórzu przywołał na myśl latarnia morską. Sam nie wiem, dlaczego. Czy, że jak latarnia morską widoczny był z daleka? Stał na samym końcu miasteczka, dalej rozciągały się już lasy. Na ich tle, ciemnym i mrocznym, światło w oknach Nestora stawało się jakby jaśniejsze i bardziej wyraziste.

— Ciekawe, co też mogło się stać? — zapytała matka, jakby samej siebie, krztając się bez przerwy przy kuchni.

— Jeżeli w ciągu pół godziny nie zapalił światła, pójdę tam i zobaczę, co się stało — odezwał się po raz pierwszy od chwili, gdy matka zaalarmowała mnie i ojca. Kolacje jedliśmy tym razem w kuchni, i co rusz spoglądaliśmy w okno, czy w domu na wzgórzu nie zabłyśnie światło. Nie mogliśmy ani myśleć, ani mówić o czymkolwiek innym.

— A może on umarł? — matka nie dawała spokoju.

— II, co też ty. Umarł! To co, przedtem światło by zgasił, czy jak? Prawda, jest człowiekiem niemłodym i ze śmiercią każdego dnia liczyć się musi. Ale przecie zdrowy, a od czasu jak poszedł na emeryturę, to nawet poweselał.

Matka z wypowiedzi ojca nie była zadowolona.

— Ludzie jak idą na emeryturę, to się smućą, a on miałby się cieszyć! I z czego się tu cieszyć?

— Ano, różnie bywa na świecie. Niejednemu czeka na emeryturę całe życie i jak ją już otrzyma, to tak jakby się drugi raz narodził. Stary Nestor należy do tych, co emerytura ich raduje. Czasu ma wiele, może robić z nim, co zechce.

— Przecie jak człowiek przestaje pracować, to tak jakby już nie żył.

— Dziwna z ciebie kobieta. Przestał pracować w fabryce, ale ma zajęcie w domu i koło domu. Ogródek warzywny, mały sadek, a zdaje się, że trzyma jeszcze kury i hoduje króliki. A jest sam i na niczyja pomoc nie może się oglądać.

W czasie gdy matka wiodła z ojcem spór o to, czym jest emerytura dla człowieka, usiłowalem zdać sobie sprawę, co wiem o Józefie Nestorze. Niestety, niewiele. Gdy pracowałem w miejscowej fabryce, widywałem

Dzieciom i dorosłym

Przed laty „Nasza Księgarnia“ wydała wybór utworów Jana Brzechwy pt. „Brzechwa — dzieciom“. Były to, oczywiście, wierszyki, bajki, poemaciki. Książkę przez jej tytuł zaadresowano do odbiorcy najwdzięczniejszego i najważniejszego, choć ten odbiorca rzadko kiedy interesuje się nazwiskiem autora. Wiersze lub ich fragmenty pamięta i wtedy, gdy staje się czytelnikiem mniej wdzięcznym i uważnym, łysiącym lub łysym, nazwisko nie ma najczęściej znaczenia.

Jeśli chodzi o twórczość Jana Brzechwy, w przeważającej ilości wypadków jego książki mogą nosić tytuł: „Brzechwa — dzieciom i dorosłym“. Proszę spróbować, bo ja tej próbie kiedyś dokonałem, dobrze przeczytać dziecku wiersz satyryczny, który w miarę upływu lat nie traci na aktualności, pt. „Urzędowanie“:

*Referent poszedł rano do miasta
do Kierownika, lecz go nie zastał,
bowiem Kierownik poszedł do miasta
do Inspektora, lecz go nie zastał,
bowiem Inspektor poszedł do miasta
do Naczelnika, lecz go nie zastał,
bowiem Naczelnik poszedł do miasta
do Dyrektora, lecz go nie zastał,
bowiem Dyrektor poszedł do miasta
do Kontrolera, lecz go nie zastał,
bowiem Kontroler poszedł do miasta
do Referenta, lecz go nie zastał.
Wieczorem wszyscy wrócili z miasta,
bo nikt nikogo nigdzie nie zastał.*

Będą się śmiać zarówno dzieci jak i dorośli. Z innych rzecz jasna, powodów i w innej tonacji, ale będą się śmiać. Z okazji tomiku satyr „Palcem w bucie“ (Warszawa 1948), z którego pochodzi przytoczony wiersz, pisałem w tygodniku „Odrodzenie“: „Gdyby ktoś oświadczył mi, iż dotąd nigdy nie czytał wierszy satyrycznych, a potem zapytał, od czego ma zacząć swoją ewentualną znajomość z tego rodzaju lekturą — to bez wahania odpowiedziałbym: — Weźcie do rąk książeczkę Jana Brzechwy „Palcem w bucie“.

Lektura tego tomiku może zadowolić każdego, poczynając właśnie od najmniej nawet z satyrą obytych czytelników...“

Nie do mnie należy przeanalizowanie sposobów, które w efekcie sprawiają, że Brzechwa służy dzieciom i dorosłym.

Złośliwi utrzymywali, że Brzechwa wszystko infantylizuje. Innymi słowy: „Wiersze dla dzieci za trudne, a dla dorosłych zbyt naiwne“. Jednak źródło sprawy można się dopatrywać i w ogólniejszej prawdzie, że „wszystko podarte jest dzieckiem“.

Jeśli za miarę oceny twórczości dla dzieci wziąć postulat wybitnego autora — wierszyków i teoretyka, Korneliusza Czukowskiego, a jest to miara wyjątkowo wysokiej próby, przylega ona do dorobku zmarłego pisarza.

Wiersze dla dzieci udzielały popularności i Brzechwie, doskonałemu poecie lirycznemu. Nie tak znowu często u nas się zdarza, by czyjeś „Wiersze wybrane“ uzyskiwały przedko po sobie następujące dwa wydania, choć nie stały za tym jakieś dodatkowe zabiegi.

Liryk znajdował się w klimacie poezji Leśmiana. Łączył go z nim sensualizm przeżywania świata, jednak przy bardziej uproszczonej postawie filozoficznej. Głównym motywem liryki a przynajmniej najsilniejszym, jest w tym wypadku miłość. Jan Brzechwa lubił kobiety. To stwierdzenie wymagałoby szerszego komentarza. W tym wypadku lubić oznacza szanować, cenić, wiele wiedzieć, być dżentelmeńskim i rycerskim, wykazywać zainteresowanie dla zjawiska „samego w sobie“. Coś takiego mam w każdym bądź razie na myśli.

A z tego wywodzą się inne cechy człowieka: umiał żyć, przepadał za towarzystwem, ożywiał je swoim uśmiechem i dowcipem, umiejętnością wyświadczenia rozmaitych przysług.

Z jego żywotności wywodzi się udział w życiu społecznym: prezesował, m. in. w Łodzi, przewodniczył, interweniował. Nie zapominajmy, że Brzechwa to przedstawiciel palectry — użyjmy tu celowo słowa, które wyszło z obiegu, należy do innej epoki — świetny znawca prawa autorskiego-

go, uczestnik rozmaitych międzynarodowych konferencji, czynny członek ZAIKS-u.

Był czas, że często stykałem się z Janem Brzechwą, nie tylko na posiedzeniach zarządu ZLP, nigdy jakoś nie doszło do rozmowy na tematy warsztatu literackiego, spraw proces literackiego. Robił wrażenie człowieka beztrojskiego, do którego da się zastosować określenie „bon vivant“, choć za uśmiechem krył się dyskretny sceptycyzm, niekiedy gorzyc. Tego dowodzą i wiersze liryczne, nie tylko te drukowane przed śmiercią.

Do niejako narodowych zwyczajów należy żalenie się na przepracowanie i orkę — zwłaszcza, wśród udawaczy. W obyczaju Brzechwy — przystojnego pana, który od wielu lat „był mężczyzną o włosach przyprószonej siwizną“ — leżało osiągnięcie wrażeń, że nie ma się żadnych poważniejszych obowiązków i kłopotów, że jest się sympatyczną „kaczką — dziewczką“. W rozmowie z nim wszystko stawało się łatwiejsze, toteż szukano jego towarzystwa. A przecież to i tłumacz poezji rosyjskiej, autor autobiograficznej powieści „Gdy owoc dojrzewa“, posiadający w dorobku niezliczone tomiki „Brzechwy dla dzieci i dla dorosłych“, przekłady fragmentów „Kalewali“, ludowej poezji gruzińskiej, chętnie oddający się we wszystkich okresach twórczości pisaniu wierszy okolicznościowych, redaktor tomów satyrycznych („Na obie łopatki“), autor tekstów estradowych, współautor żopek.

Przypomnijmy, że to właśnie w Łodzi przy ul. Traugutta 1, w listopadzie 1945 roku odbyła się premiera zrecenzyj i dowcipnej szopki politycznej pióra Jana Brzechwy i Janusza Minkiewicza.

Czyż muszę doświadczać, że był człowiekiem niezwykle taktownym, a więc bardziej humorystą niż satyrykiem. Nad nim w domu przy Al. Kościuszki 98 mieszkał inny poeta, cierpiący przeważnie na bezsenność, a więc w nocy nie strudzenie spacerujący po pokoju, obmyślający wiersze. Przeszkadzało to Brzechwie, więc kupił najlepsze papucze, jakie były na rynku, i posłał je z miłym bilecikiem sąsiadowi z górnego piętra. Ówczesni sąsiedzi takie aluzje rozumieć w sposób właściwy!

W potoczności i w bezpośredniości — niemal niezauważalnie spokrewnionej z celnością słowa, ze zwięzłością obrazu, z humorem i zabawą — tkwi siła poetycka Jana Brzechwy, pisarza urodzonego na Ukrainie.

Cieężko jest pisać to wspomnienie pośmiertne...

*A ziemia taka ciepła, a trawa taka gorzka,
I skaczą po gałęziach oczy leśnego bożka...*

*Sąsiednie drzewa szumią i wiatr zamiata drogę,
Odchodzę, lecz na drodze odnaleźć się nie mogę.*

*Noc mija, niebo świta, ja cały w niebie stoję,
Na trawie leży ciało nie moje i nie twoje.*

Cytat pochodzi z wiersza „Uroki“ z tomu „Trzeci krag“, wydanego w 1932 roku.

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

*Nie domyślają się jak pudełka
Dni wypełnione tobą po brzegi
cieple aż chciałoby się ich dotknąć
mijają czas na wypukłości żrenic
ich kolorowe wagoniki*

*W obramowaniu mojej twarzy pierwszej
tej na szczerość
pełnia Twoich oczu
mijają mnie kolorowe pudełka pełne Ciebie
i nie sposób ich zatrzymać domknąć*

JACEK BIEREZIN

*drzewa pocięły horyzont
o świecie nieurodzajnym
wiatr echo płaków malował na szybie
aż szarość minionej nocy
odeszła w sekwencie krajobrazów
z nieba ptaki zdziobały
czyjąś ludzką gwiazdę
i w zakrzywionych szponach
dalej w noc poniosły
by trudniej było sięgnąć
i wypatrzeć nocą
a ludzie jakby nie chcieli
toczyć gwiazd drewnianych
wrosli w ziemię w zachwycie nad słońcem*
Dla M.

DOMINIK OPOLSKI

OPOWIADANIE MORZA

*Opowiem ci sól, ryby uwiązane do życia i gładkość dna.
Słuchaj więc nie mnie, lecz fal, które pamiętają plażę
zmarłego lata.
Jeżeli wolisz posłuchaj wiatru. Opowie ci kształt wiosła
złamanego przed rakiem i twarze wiszące nad
zatopioną łodzią.
Słuchaj uważnie — to mój głos...*

Z teki WACŁAWA KONDKA



Łowicz

stołu. Słowo się rzekło, kobyłka u plotu. Postanowiliśmy, że pójdę tam, to pójdę. Matka powiedziała:

— A ja bym ci radziła, żebyś tam nie szedł. Jeszcze cię kto walnie zniecacka. mało to kręci się teraz różnych chuliganów. Może i starego zakatrupili, kto to wie. Narobisz sobie tylko biedy, pomówia cię o Bóg wie co i jeszcze po sądach wleźć cię gotowi.

— Matka ma rację — wtracił ojciec. — Najlepiej będzie, jeśli zadzwonisz na posterunek milicji. Powiesz, co i jak, że jesteście my zaniepokojeni i niech tu ktoś przywiedzie. Od tego jest przecież milicja, a nie my.

Rada oca wydała mi się nader rozsądna. Zszedłem na dół do sąsiada, któremu niedawno założono telefon.

Sierżant z posterunku milicji przyjechał najpierw do nas. Staliśmy razem w kuchni przy oknie. Dom na wzgórzu ginał w mroku wieczoru, ale różniali się jeszcze biel ścian i ciemna plama dachu. Opowiedział mi mu nasze spostrzeżenia i domyśli. Sierżant spojrzął na zegarek. Była godzina dwudziesta pierwsza. Zapropował mi, abym poszedł razem z nim na wzgórze. Nieoczekiwana propozycja sierżanta zaskoczyła mnie, ale i podekscytowała. Naturalnie, że pójdę. Odezwała się we mnie żylka detektywa. Matka spojrzała na mnie z niepokojem, lecz nie powiedziała ani słowa. Sierżant postawił rower w sieni. Na wzgó-

rze można było wjechać drogą okreśną, natomiast od naszego domu prowadziła jedynie stroma ścieżka, która trzeba było przebieść pieszo i to z trudem. Szliśmy powoli, zachowując zrozumiałą ostrożność. Sierżant posuwał się przodem, opierając rękę na przytrzymanym do pasa pistolecie. Ja postępowalem krok w krok za nim i spoglądałem niespokojnie na strony. Nie powiem, bym nie odczuwał lęku. Owszem. Bałem się, ale zarazem podniecała mnie ciekawość, co będzie. Obaj, sierżant i ja, mieliśmy przy sobie latarki. Odległość do domu na wzgórzu wynosiła około trzystu metrów, może nawet więcej. Im bliżej domu, tym stromiej, co kilkanaście metrów zatrzymywaliśmy się, zasapani. Sierżant nie był człowiekiem starym, nie stuknęła mu jeszcze pięćdziesiątka, ja byłem od niego co najmniej o dziesięć lat młodszy, a jednak zmezenie dawało nam się we znak. Z pewnością nie było ono tylko wynikiem fizycznego wysiłku, lecz także nerwowego napięcia i wielkiej emocji. Suche gałązki łamały się pod naszymi nogami i trzask ich stawał się wielce nieprzyjemny. Gdy w lesie zastukał dzwonił lub odezwała się gdzieś wrona, wstrzymywałem oddech w przekonaniu, że zdaję tam ostrożność i własne bezpieczeństwo.

Ostatni odcinek drogi pokonywaliśmy z wyjątkową ostrożnością. Gdyśmy się wreszcie zbliżyli na odległość kilku metrów od domu, sierżant zatrzymał się i powiedział

mi szeptem do ucha: „Niech pan tu postoi i obserwuj dobrze otoczenie, a ja podejde do drzwi“. Było już zupełnie ciemno. Stałem w miejscu, jakbym ot przyrósł do ziemi. Sierżant uważnie podszedł do ganku. Wstał na kamienne schodki i chwycił za kłamek. Drzwi ani drgnęły. Spróbował jeszcze raz. Bezsukcesnie. Drzwi były zamknięte od wewnątrz, a klucz — jak można się było domyśleć — tkwił w zamku. Sierżant dał mi znać, bym się zbliżył. „Obejdziemy dom dookoła, zobaczymy, czy nie da się wejść przez okno“. Staliśmy cicho, na palcach. Jakież było nasze zdumienie, gdy okno od strony drogi, która mogły doleżdać furki i nawet samochody, okazało się uchylone. Sierżant, zdawając ostrożność, odchylił je jeszcze bardziej i zajrzał do wnętrza.

Ponieważ nie mógł niczego dostrzec w ciemności, zapalił latarkę i uniósł ją w ręce. Teraz spojrzeliśmy obaj na izbę. Na podłodze leżał człowiek. Był to Józef Nestor. Leżał na plecach z rękami wzdłuż ciała. Poznałem go od razu. Siwe włosy i długie, prawie białe, wąsy. Niedzie śladu uderzenia, ani śladu krwi. Gdyby w tej pozycji leżał na łóżku, powiedzielibyśmy, że zasnął. Może zasnął i upadł na podłogę — szepnął sierżant. Co zrobimy? — spytałem. Sierżant nie odpowiedział od razu. Zgasił latarkę i odwrócił się od okna. Przed nami mrugały światła naszego miasteczka. W dzień widać było je stad jak na dłoni. Miasteczko

leżało w kotłynie, gdy była pogoda, czerwone dachy domów ładnie kontrastowały z zielenią drzew. Ale teraz była już noc i nie widzieliśmy nic, prócz tych świateł. Na wieży kościoła odezwał się zegar. Liczyliśmy uderzenia. Dwudziesta druga. Dokładnie o tej godzinie Nestor zasnął codziennie światło. Dziś zgasło o dwudziestej. — Nic tu sam nie zrobie — powiedział szeptem sierżant. — Trzeba zejść na dół i zawiadomić komendę powiatową. Muszą tu przyjechać z lekarzem i stwierdzić, czy to zgon, czy też co innego. Poza tym nie możemy wchodzić przez okno, bo jeżeli był tu kto przed nami, pozostały ślady i trzeba je zachować. Sa trzy możliwości: albo stary po prostu umarł, albo go zabito, albo też popełnił samobójstwo.

— Jest jeszcze jedna możliwość: upił się i śpi na podłodze — podpowiedziałem.

— Mało prawdopodobne, aby tak było — zawyrokował sierżant. Szybaliśmy go, czy bede mógł towarzyszyć ekipie powiatowej. — Teraz się wciąż apeluje do społeczeństwa o pomoc i współpracę w wykrywaniu przestępstw i zbrodni. Ja właśnie jestem społeczeństwem.

— Powiem im o tym, myślę, że się zgodzą.

Sierżant dał znak i poześliśmy schodzić w dół.

(FRAGMENT POWIEŚCI PT. „DOM NA WZGÓRZU“).

Kto, co, kiedy?

relacje
medyskrecje



Jedna z ilustracji Jeana Chiezdó dzieł Edgara Poe.

ILUSTRACJE JEANA CHIEZ DO PROZY EDGARA POE

Edgar Poe jest tym dla ilustratorów książek, czym jest Szekspir dla aktorów. Siła wyrazu i sugestywność prozy Poe sprawiają, że najwybitniejsi artyści chętnie podejmują się plastycznej interpretacji fragmentów jego dzieł. Ostatnio m. in. Jean Chiez wykonał drzeworyty do dzieł Edgara

Poe. Drzeworyty te charakteryzują obok dużej sprawności warsztatowej, świeżość i siła wyrazu, którą podkreślają kontrasty białej i czarnej. Artysta znakomicie zinterpretował obsesyjny niepokój pisarza. Fantastyka Poe nie tu nie traci, przeciwnie wykonanie plastyczne, poprzez rozkład światła i cieni stwarza sugestywność nastroju odpowiadającego nastrojowi dzieła Poe.

ILUMINACJA — SZTUKA NIE CAŁKIEM ZAPOMNIANA

Słowo „iluminacja” znaczy nie tylko rzeźbę oświetlenia, oznacza także zapomnianą dawną, zdawałoby się już dziś niepotrzebną sztukę ręcznego ozdabiania rękopisów. Jak wiadomo przed wynalezieniem druku, zajmowały się tą znużoną pracą niektóre zakony. Toteż Jean Botte, Belg z Etterbeek należy chyba do ostatnich z przedstawicieli fachu ręcznego ozdabiania manuskryptów, malowania miniaturowych obrazków, liter i napisów.

Jean Botte jest urzędnikiem miejskim. Z wyglądu przypomina Anglika, choć nigdy w Anglii nie był. Ani on, ani jego żona nie uznają podróży statkiem lub samolotem. Najchętniej jeź-

dziłby dyliżansem. Jean Botte po swej normalnej, dość denerwującej pracy w urzędzie, zasiada wieczorem w zaciszu swego domu, do stołu oświetlonego błękitnym światłem, przypominającym nieco dziełne. Na stole tym stoi mnóstwo najróżniejszych butelek z farbami i atramentami, leżą pędzle i pędzle, suche farby. Jean Botte, jak średniowieczny benedyktyn, wykonuje ozdoby napisy wymagające niesłychanej cierpliwości, ogromnej dokładności i staranności. W ten sposób powstają ręcznie wykonane dyplomy, uroczyste zawiadomienia, artystycznie wykonane zaproszenia. Zamiłowanie do pięknego pisma — jak twierdzi Jean Botte — jest w jego rodzinie dziedziczne. Zarówno jego dziadek, jak ojciec, matka i wuj mieli zamiłowa-

nie do pięknego pisma. Ale samo zamiłowanie tu nie wystarczy. Przez wiele lat Jean Botte przeprowadzał gruntowne studia, aby zdobyć wiedzę, odszukać dawne metody wykonywania średniowiecznych manuskryptów, poznać sztukę doboru i odpowiednich farb. Niektóre z nich sprowadza z Chin, jeszcze inne farby i pędzle z innych krajów. Jean Botte wykonuje iluminacje już od 20 lat. Niektóre z jego rysunków są tak miniaturowe, że wykonuje je przy pomocy lupy. Jak się zdaje jest to już ostatni przedstawiciel tego zawodu. Córka Jeana Botte nie podziela jego zapалу do tej pracy.

WYSOKIE ODZNACZENIE DLA GEORGES SIMENONA

Georges Simenon, belgijski pisarz, wyróżniony został Orderem Korony Belgijkijskiej.

Georges Simenon urodził się w r. 1903. Początkowo był dziennikarzem, a następnie po wyjeździe do Paryża rozpoczęła pracę literacką. Znany jest głównie z licznych powieści kryminalnych, których bohaterem jest komisarz policji Maigret. Ta fikcyjna postać doczekała się swego pomnika. Mianowicie w jednym z miast w Holandii, gdzie Simenon w 1929 roku spędził wakacje i gdzie obmyślał swą powieść, w której po raz pierwszy miał wystąpić komisarz Maigret, stanął ma statua komisarza, dłuta Pieter d'Honta.

Od lat Georges Simenon zdobywa coraz większe sukcesy literackie. Pisze bardzo dużo i jak twierdzą krytycy coraz lepiej (był czas, że Simenon pisał jedną książkę w ciągu miesiąca). Nie jest zadowolony, że czytelnicy traktują go przede wszystkim jako autora powieści kryminalnych. Georges Simenon twierdzi, że tego rodzaju powieści pisał jedynie dla zarobku (dodajmy, że dobrego zarobku). Simenon zdobył nie tylko sławę, ale i majątek, a prawdziwymi dziełami jego serca są powieści inne, nie kryminalne, króciutkie.

Do najbardziej znanych utworów Simenona należą m. in.: „List do mojego sędziego”, „Śnieg był brudny”, „Zegarmistrz z Everton”. Ma też w swym dorobku powieść autobiograficzną pt. „Pédigree”.

TACYT REŻYSEREM FILMOWYM

Tacyt (ok. 55-120) był, jak wiadomo, największym historykiem rzymskim. Ostatnio ukazała się we Francji książka pt. „Tacyt i losy cesarstwa”, której autorem jest Alain Michel. Twierdzi on m. in., że Tacyt, gdyby dziś żył byłby świetnym reżyserem filmowym.

Tacyt — według zdania Alain Michela — po mistrzowsku buduje sceny. I tak np. przedstawiając w „Rocznikach” śmierć Agrypiny wysuwa na plan pierwszy działające osoby, nadaje zwartość dialogom, usuwa zbędne szczegóły. Niejednemu reżyser filmowy mógłby się wiele nauczyć od Tacyta, a nasi wielcy reżyserzy, klasyki filmu musieli dopiero odkrywać zasady, które znane były dobrze Tacytowi i którymi umiał się świetnie posługiwać.

AUTO-ART

Mamy już pop-art i op-art, a teraz będzie my mieli auto-art — pi-

szs żartobliwie „Le Figaro” — gdyż pewien francuski malarz plakatów, Brenot wpadł na pomysł malowania portretów, najchętniej pięknych pań, na drzwiczkach samochodów. Malarz wszedł już podobno w kontakt z posiadaczami niezbyt wartościowych samochodów, które trudno jest sprzedać. Tak więc na początek na drzwiczkach wysłużonego, przedwojennego Daimlera, Brenot wymalował piękną blondynkę. „Myślisz, że znalazł się amatorzy, którzy kupią wóz ze względu na drzwiczkę przeze mnie namalowane — oświadczył Brenot. I dodał: „Zresztą czyż Ma-thieu i Buffet nie wypróbowały swoich talentów na drzwiach lodówek?”

PISARZE FOTOGRAFAMI

W Paryżu ukazała się książka pt. „L'Age de la photographie, de Niepce à nos jours” („Wiek fotografii od Niepce'a do naszych dni”). Joseph Nicéphore Niepce (1765-1833) był francuskim fi-

zykiem, współwynalazcą dagerotypu, zaś Claude Marie Niepce de Saint-Victor (1805-1870) wynalazł w roku 1847 szklane płyty fotograficzne.

Michel F. Braive, autor książki „Wiek fotografii”, poświęcił jeden, długi rozdział pisarzom, którzy obławiali żywe zainteresowanie, czasem wręcz entuzjazm, wobec pojawienia się tej nowej sztuki, a niektórzy z nich sami próbowali stać się jej adeptami. I tak np. Lamartine stwierdził o fotografii: „To fenomenalne! To pozwala nam na współtworzenie ze słońcem!”. Wiktor Hugo bardzo się fotografał i interesował, Baudelaire kazał się fotografować z reka za kamizelka, w napoleońskiej pozie, Lewis Carroll fotografował małe dziewczynki, żądając od nich, by przez dłuższy czas siedziały nieruchomo, z czym było sporo kłopotu. Emil Zola wybrał spokojniejszą modelkę... lalkę. Zachowało się nawet zdjęcie, na którym Zola pełen skupienia fotografuje siedzącą na dzieciennym krzeselku lalkę.



Grupa grafików „Racski” — Kraków U. J.

POLONICA

LEKTURA POLSKA W ŚWIECIE

Pod takim tytułem Zespół Państwowych Techników Rolniczych w Cieszynie zorganizował niedawno wystawę przekładów z literatury polskiej. Dzięki pomocy Agencji Autorskiej, Zarządu Głównego ZLP, miejscowego Muzeum i wielu pisarzy, organizatorzy wystawy zgromadzili przekłady zarówno klasyków jak autorów współczesnych. Również wcale dobitnie wystawa podkreśliła zasięg literatury polskiej w świecie i chociaż oczywiście nie pokazano wszystkich powojennych tłumaczeń, to jednak wystawiono nie tylko dzieła najczęściej przekładanych autorów i wydania ze Związku Radzieckiego, Czechosłowacji i krajów niemieckiego obszaru językowego, gdzie najczęściej tłumaczy się pisarzy polskich, ale także przekłady tłumaczeń na tak egzotyczne języki, jak japoński, turecki, wietnamski, chiński czy wydania południowo-afrykańskie i egipskie.

Wystawę uzupełniały antologie poezji i prozy polskiej, wydane ostatnio w różnych krajach, wydawnictwa bibliograficzne omawiające temat wystawy i przekłady pism obcojęzycznych poświęconych Polsce i jej kulturze.

Wystawa cieszyła się dużym powodzeniem i to nie tylko wśród młodzieży licealnych i czeszyjskich szkół, ale także wśród turystów licznie zwiedzających stary gród nad Olzą.

POLSKI POETA GWAROWY W SZWAJCARII

W Lucernie w Szwajcarii żyje wywodzący się z cieszyńskich Beskidów, dr Jerzy Rucki, który z powodzeniem pisze wiersze w starej gwarze istebniańskiej. Treść do swych wierszy czerpie J. Rucki ze wspomnień swej młodości. Ożywia dawne podania i legendy, opisuje zwyczaje goralii beskidzkiej, opiewa piękno w młodości porzuconych przez niego Beskidów. Swoje wiersze J. Rucki drukuje w regionalnej prasie śląskiej i w polskich periodykach ukazujących się w Czechosłowacji.

KSIĄŻKI POLSKIE W CZECHOSŁOWACJI

Wydawnictwo „Profil”, mające swą siedzibę w Ostrawie, wydaje m. in. książki w języku polskim. Są to zazwyczaj utwory miejscowych autorów zrzeszonych w sekcji Literacko-Artystycznej przy Polskim Związku Kulturalno-Oświatowym. Wydawnictwo to wydało większość zbiorów poetyckich i reportaży znanego także w Polsce literata, Henryka Jasickiego. W planie wydawniczym „Profilu” znajduje się zbiorek awangardowego poety Wł. Sikory, tomik fraszek lekarsko-literata Janusza Gaudyna i książeczka dla dzieci Henryka Jasickiego. Jak co roku Wydawnictwo to ogłosi też Kalendarz Śląski, będący swego rodzaju antologią polskiego środowiska literackiego w Czechosłowacji. Warto przy tej okazji nadmienić, że w czeskim Cieszynie ukazuje się miesięcznik literacki „Zwrot”, redagowany ongiś przez Pawła Kubisa, a obecnie przez J. Rusnoka, znanego działacza PZKO. (e)

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Wczoraj radio i prasa doniosły o śmierci Jana Brzechwy a dziś, że zmarła Wanda Grodzińska-Pollakowa.

Jan Brzechwa, znakomity pisarz i czarujący człowiek, był pierwszym prezesem Łódzkiego Oddziału ZLP. Nie tak dawno, bo na jubileusz Jana Parandowskiego w Warszawie, spotkałem autora „Kaczki dzikawki” — był pogodny i z sympatią wspominał kolegów łódzkich. Wanda Grodzińska-Pollakowa również była związana z Łodzią: do roku 1951 redagowała tu pismo dla dzieci pt. „Świerszczyczka”. Panią Wandę poznałem w Bułgarii. Żywy i błyskotliwy intelekt autorki książek dla dzieci sprawił, że rozmowy z nią sarką do dziś pamiętam. Właśnie to, że myśli, słowa są niekiedy trwalsze

niż człowiek — budzi w nas sprzeciw i żal. Właśnie to, chociaż tragiczne, jest pociechą i nadzieją śmiertelnego człowieka.

WTÓREK

Ogólnopolski Festiwal Teatrów Poczłi zostanie zorganizowany w roku 1966-67 dla uczczenia 50 rocznicy Rewolucji Październikowej.

W Festiwalu wezmą udział zespoły robotnicze, szkolne i studenckie. Dla każdego pionu przewidziano po trzy nagrody. Ta jaka będzie jego treść? Jest nadzieja, że poezja nie stanie się tylko pretekstem do popisów reżyserskich, aktorskich, i scenograficznych. Jest nadzieja, że wybór utworów, ich interpretacja będzie głównym przedmiotem troski zespołów i zasadniczym

kryterium oceny na Festiwalu Teatrów Poczłi.

Sprawa interpretacji współczesnej poezji jakkolwiek wydaje się aż nadto oczywista teoretycznie, nie ma na ogół zastosowania praktycznego. Tradycyjny sposób wygłaszania wierszy króluje nam miłośniczynie nie bacząc na zmiany, takie zasady i zachodzą w poezji. Zapewne z tym, w dużej mierze, wiąże się trudność słuchowego odbioru i rozumienia współczesnej poezji.

ŚRODA

Województwo Łódzkie zwyciężyło. Zarząd Wojewódzkiego Związku Teatrów Amatorskich w Łodzi zdobył w ramach zakończonego obecnie XII Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego główną nagrodę przyznaną przez Min. Kultury i Sztuki. Woj. Łódzkie pobilo wszelkie rekordy pod względem liczności uczestników konkursu.

Powód do radości czytelnicy. I niech mi wybaczy red. Bilinski ten nowy wybuch radości (a nie zachwyty, jak pisał), bo właśnie obie one (radości i zachwyty) są przekonaniem, że nie grozi nam ani ma-

ła, ani średnia, ani żadna stabilizacja.

A najgorsza to właśnie ta stabilizacja. W upowszechnianiu ruchu recytatorskiego mamy oczywiście sukcesy. 18 tys. uczestników w eliminacjach. Woj. Łódzkie najprawdnie zorganizowało prace instruktażowo-konspiracyjne. To niewątpliwie musiało wpłynąć i wpłynęło na poziom artystyczny ruchu.

Nie znaczy to oczywiście, że uwagi „wtorkowe”, dotyczące interpretacji współczesnej poezji, tracą swój sens czy aktualność. Amatorski ruch recytatorski eksploatuje głównie literaturę romantyczną, pozytywistyczną, międzywojenną i wczesną powojenną. Tu konwencjonalne sposoby przekazywania tekstu literackiego wystarczają.

Ale każda eksploatacja ma swój kres. Zaczyna się sięgać coraz częściej po literaturę współczesną, a to oznacza koniec stabilizacji „w recytacji”.

CZWARTEK

Wreszcie Łódź ma „Trójzab Neptuna”. Przywiózł go z Ogólnopolskiego Przeglądu Kabaretów Studen-

ckich w Szwajcarii STS. Nie do wiary ile imprez, „Cyryna”, jako pierwszą nagrodę za program „Cierpliwość, akademii i cer cum caule” w reżyserii Jana Kwapińskiego. Indywidualną nagrodę otrzymał Bogdan Włodarczyk, kierownik teatru.

Duże brawa dla „Cyryny” którą i my w Łodzi doceniamy przede,

PIĄTEK

A co będzie z Pegazem? „Pegaz” ma być prezentowany. Oby tylko nie do Warszawy! Aż strach pomyśleć: trzeba by do stolicy jeździć, żeby trochę ponad poziomy pojeździć.

Istnieją plany przebudowy ulicy Zielonej, a przy rogu Zielonej ulicy „Pegaz” księgarska nasza ulubiona.

SOBOTA

140 spotkań autorskich podczas obchodów „Dni Oświaty, Książki i Prasy”. Uczestniczyli w tych spotkaniach 12.964 osoby. Odczytano 353 odczyty, 35.600 widzów i słuchaczy na 22 koncertach i imprezach artystycznych. Sprzedano 19 tys. książek na kiermaszach książek.

PIĄTEK

Honorowy Komitet Obchodów „Dni Oświaty, Książki i Prasy” odbył posiedzenie, na którym dokonano oceny przebiegu Dni w naszym mieście. Na wniosek przewodniczącego Komitetu mgr. Edwarda Kaźmierczaka postanowiono podziękować wszystkim, którzy przyczynili się do tak imponujących obchodów.

Szkoda, że tysiącelecie trwa tysiąc lat. Ale poczekamy. Cierpliwie, pracowicie — a przeleci.

NIEDZIELA

Dzień wolny od pracy!

J. Zoloda

PRZECZYTAJ W TRAMWAJU * PRZECZYTAJ W POCIAGU * PRZECZYTAJ U DENTYSTY *

FERENC MOLNÁR

Wypróbowana uczciwość

Pan Bayout, prezes Ludowego Banku Rolnego, wezwał do siebie swego sekretarza Philiberta.

— Niech mi pan powie coś bliższego o naszej filii w Perpignan. Kto to jest Floriot?

— Floriot?... To kasjer. Chwilowo zastępuje dyrektora. Po śmierci dyrektora Bouchera, przypomina pan sobie, panie prezesie, nie zaangażowaliśmy jeszcze nikogo na to stanowisko. Na razie filią kieruje Floriot. Perpignan nie jest filią o zbyt wielkim znaczeniu.

— Okazuje się, że ten Floriot robi jakieś malwersacje. Otrzymałem właśnie list z Perpignan. Anonim, to prawda, ale jednak...

Prezes Bayout wziął z biurka niezbyt czystą kartkę papieru zapisaną nie wyrobionym piśmem i podał sekretarzowi.

Do Pana Prezesa Zarządu Ludowego Banku Rolnego w Paryżu

Szanowny Panie Dyrektorze!

My, rolnicy z okolic Perpignan, składamy w filii Pańskiego Banku pieniądze, których zarobienie na pewno nie przychodzi nam łatwo. Pewnego pięknego ranka dowiedzieliśmy się, że bank zawiesił wypłaty, a nasze oszczędności diabli wzięli. Wszystko ku temu prowadzi. Pan na pewno, nic nie wie, że kasjer filii, Floriot, od miesięcy regularnie okrada bank i na pewno odłożył już sobie ładną harmonię pieniędzy. I zanim wy, tam na samej górze, w Paryżu, zorientujecie się w sytuacji, z naszych pieniędzy nie będzie śladu.

— Niech pan jeszcze dziś wydeleguje kogoś z inspektorów do Perpignan — zdecydował prezes — niech jednak będzie ogledny. Na razie nie ma powodów, by kasjera płoszyć. Wszystkie te zarzuty są zapewne wysane z palca.

Pan Floriot, p. o. dyrektora filii w Perpignan, przywitał inspektora z centrali przerażonym spojrzeniem.

— Kontrola mojej księgowości? Zaraz, w tej chwili? W środku miesiąca? Bez żadnego uprzedzenia? Dziwne..

Inspektorowi zrobiło się żal przerażonego człowieczka.

— Nie ma się czym przejmować, panie kolego. We wszystkich filiach przeprowadzamy od czasu do czasu inspekcje. Prezes miewa takie niespodziewane pomysły. To tylko formalność. W pół godziny będzie po wszystkim.

ny — oczywiście, jeśli pan sam nie będzie o tym gadał. Czy może mi pan pokazać wreszcie książki?

Dwa dni później Philibert wszedł do gabinetu prezesa.

— Mogę już panu przedstawić wyniki inspekcji w Perpignan, panie prezesie. Księgowość w idealnym porządku, nie brak nawet jednego su.

na. Podobno Floriot zdążył zaalarmować swego wspólnika i ten podrzucił do kasy skradzione sumy. Musimy coś zrobić z tą sprawą.

— Czy przeprowadzimy jeszcze jedną inspekcję filii w Perpignan? — zapytał żałośnie Philibert.

Prezes bebnął nerwowo palcami po biurku.

— Weale mi się nie po-

tej historii więcej nie słyszał.

Jeszcze tego samego dnia trzech najbardziej zaufanych inspektorów wydelegowano do Perpignan. Tym razem zaskoczony pan Floriot miał naprawdę powody, by się przerazić. Jeden z rewidentów nie odstępował go na krok, podczas gdy dwaj pozostali przeprowadzali gruntowną, przeszło czterogodzinną kontrolę księgowości filii.

Wszystko okazało się w idealnym porządku, najdrobniejszej niedokładności nie udało się ich znaleźć.

— Chciałbym, żeby we wszystkich naszych oddziałach książki były w takim porządku — przyznał szef ekipy inspekcyjnej, gdy żegnał się z zupełnie zdruzgotanym Floriotem.

— Pan Floriot z Perpignan prosi, by pan prezes był łaskaw go przyjąć — zaanonsował Philibert w tydzień później.

Wbrew swym zwyczajom prezes Bayout wstał z biurka i ruszył z wyciągniętą ręką na spotkanie kasjera. Ale Floriot sztywno ukłonił się z daleka.

— Przybyłem złożyć rezygnację, panie prezesie.

— Rezygnację? Pan chyba nie mówi poważnie. Z jakiego powodu?

— Dwukrotnie przeprowadzono gruntowną inspekcję całej mojej księgowości. Oczywiście, narobiło to nie mało szumu i wywarło fatalne wrażenie, pomimo że moja uczciwość nie została podważona. Ludzie nie wątpią, że jakieś powody takich inspekcji być musiały. Jak-

że ja po tym wszystkim wyglądam? Nie jestem przecież dwudziestoletnim praktykantem... Mam żonę..

Prezesa Bayouta słowa te poruszyły do głębi.

— Leży mi na sercu, by po tej całej historii nie pozostał nawet cień jakiegokolwiek wątpliwości. Chwilęczkę, chwilęczkę... Stanowisko dyrektora filii w Perpignan nie zostało przecież dotąd obsadzone. Jeżeli je pań obejmię, co oczywiście łącząc się będzie ze znaczną podwyżką poborów, to wtedy już nikt nie będzie mógł wątpić w pańską nieposzlą kowaną uczciwość.

— Czy pan prezes rzeczywiście sądzi... — wyjąkał oszołomiony Floriot.

— Oczywiście, panie kolego. Praca tak sumiennego urzędnika na nowym stanowisku, będzie dla naszego banku tym bardziej pożyteczna.

Gdy nowo mianowany dyrektor Floriot wrócił do domu, do Perpignan, żona po dała mu wygodne filcowe pantofle.

— Nareszcie — mrucał z zadowoleniem. — Jeśli uczciwość nie zostanie komisyjnie dowiedziona, człowiek nie ma z niej żadnego pożytku. Mogłbym do śmierci być kasjerem, kto by tam w dyrekcji wiedział, że jestem taki uczciwy.

— Ale teraz wszyscy już wiedzą — rozpromieniona pani Floriot patrzyła z podziwem na męża. — Miałeś świetny pomysł z tymi listami.

Przełożył:

LESZEK RADZIKOWSKI



J. Krebs (NRD) — Akt.

— Tak, tak, ale w takiej zapadłej dziurze prowincjonalnej będzie potem gadał — biadał Floriot. — Zawsze na mojej opinii zostanie pewien cień, nikt już nie będzie miał do mnie pełnego zaufania. Sam pan chyba rozumie.

— Nikt się o niczym nie dowie — powiedział inspektor już nieco zniecierpliwio-

— No, to świetnie. Najlepiej dowód, że do anonimowych listów nie trzeba nigdy przywiązywać wagi.

Ale w miesiąc potem prezes znów wezwał do siebie sekretarza.

— Zastanawiające. Znowu otrzymałem anonim z Perpignan. Inspekcja tamtejszej filii nie była jakoby we właściwy sposób przeprowadzo-

dobają takie nieustanne kontrole. Tym niemniej, obowiązki wobec naszych klientów... A jeżeli te zarzuty nie są wysane z palca? W razie jakiegokolwiek skandalu nie będziemy się mogli nawet tłumaczyć, że nas nie ostrzegano. Nie mamy innego wyjścia. Ale niech już tym razem inspekcja będzie na tyle dokładna, żebym już o

SPEKTAKLE tygodnia

FILM

POLONIA	„Ostatni zachód słońca” 9 seansów	6.184 — 92%
WISŁA	„Zjadacz dyń” 30 seansów	6.081 — 50%

TEATR

NOWY	„Panna młoda” 3 spektakle	900 — 50%
	„Bliźniaki z Wenecji” 1 spektakl	450 — 70%
	„Trojanki” 1 spektakl	300 — 50%
MAŁA SALA	„Drewniana miska” 1 spektakl	100 — 50%
	„Anioł na dworcu” 2 spektakle	200 — 50%
	„Ojciec” 1 spektakl	150 — 75%
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ	„Konrad Wallenrod” 1 spektakl	400 — 100%
	„Anioł na dworcu” 2 spektakle	483 — 85%
JARACZA	7.15	
	„Taka noc nie powtórzy się więcej” 3 spektakle	1.280 — 100%
	„Kłamczucha” 1 spektakl	420 — 100%
POWSZECHNY	„Ples ogrodnika” 5 spektakli	1.975 — 60%
	„Tango” 1 spektakl	238 — 50%

PRZECZYTAJ W TRAMWAJU * PRZECZYTAJ W POCIAGU * PRZECZYTAJ U DENTYSTY *



Lewym okiem

SETKA RAZ!

W jednym z felietonów w „Odgłosach” napisał Jazdyński, że jedyną niesporną zasługą felietonistów jest podsuwanie tematów innym felietonistom. Bývają może i inne zasługi, ale już nie takie niewątpliwe. Na przykład... Na przykład zwracanie uwagi na bolączki? Na obyczajowe wymaturzenia? Na niedoróbki i przerosty?

E, tam! O gastronomii i o kelnerach pisano już tyle, że wreszcie takie pisanie uznano za szczyt łatwizny, truizmu, publicystycznej tandety. Wszyscy — wraz z kelnerami — śmiejemy się z piszących o kelnerach. I nadal nie mamy po co

chodzić do lokali, nadal są one poniżej tej najtandetniejszej krytyki, razem z kelnerami. Czyli wieloletnie pisanie i gadanie nie zdało się na nic.

Nie wiem, czy zdała się na coś setka Cwieków, którą niniejszy felieton zamyka. Skromność nie pozwala autorowi zwracać się do czytelników —

Setny felieton!

o ile istnieją — z pytaniem: chcecie jeszcze? Redaktor mówi, że chce. Redaktor to też czytelnik; jeden, ale jaki!

Z takim pytaniem zwracał się kiedyś do publiczności soltys Kierdziołek, szukający potwierdzenia, racji swego istnienia; Conan Doyle na zdanie czytelników cudownie wskrzesił umierającego już w Alpach Sherlocka Holmesa i dał mu szansę wielu jeszcze przygód detektywistycznych; Sienkiewicz podobno zmienił koncepcję losów Longinusa Podbięty pod wpływem listów czy-

telników. Więc może i do Cwieków po długim okresie posuchy zaczął napływać rzeki listów, podsuwając mu tematy stokroć lepsze od tych, które ściągnąć można od konkurencji?

Tymczasem niech będzie klasycznie i ogórkowo: felieton o felietonistach. Każdy z nich ma ulubione klawisze, w które najczęściej uderza. Można by złożyć statystykę: ile razy Szeląg w „Kulturze” pisał o przystankach tramwajowych? Ile razy Kopalński w „Życiu Warszawy” narzekał na wrzask dzieci za oknem, a roztkliwiał się nad niesłusznie oczernianą młodzież? Ile razy Putrament w tymże „Życiu” sobaczył na pijaną i wulgarną młodzież, a roztkliwiał się nad narybkiem w jeziorach mazurskich? Ile razy Jazdyński w „Odgłosach” wołował z Warszawką z pozycji łodzianina, któremu wszystkie ze stolicy świeciły w oczy? Ile jest dookola, wszędzie, co chwilę bzdur i podstępów, o których nikt nigdzie nie pisze?

Ta ostatnia statystyka byłaby na pewno najtrudniejsza. Ale — Panie Redaktorze — jeszcze trochę cierpliwości. Dociekniemy do pięćsetki, zobaczymy, czy z oceanu bzdur ubędzie choć kropka. Nawet ta kropka będzie jakąś pozycją po stronie aktywów, a to przecież lepsze niż karta biała od absolutnej obojętności.

CWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-75. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem: na „Odgłosy”. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. Zam. 2006.V11.66. E-11